CENA EGZEMPLARZA 1 sh.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 43/122 — Londyn, dnia 23 października 1949 — CENA 1 sh.

W JEDNYM z dalszych numerów ZYCIA ukaże się w związku ze studium Wita Tarnawskiego o głośnej powieści G. Greene'a inna próba jej oświetlenia pióra Juliana Wiśniewskiego. Na str. 3 polemiczna recenzja Janusza Rakowskiego o książce Stanisława Gryziewicza „Środki polityki gospodarczej". Na str. 4 oprócz art. dyskusyjnego X. Marcina Wojciechowskiego o katolikach niemieckich artykuł „Dwa amerykanizmy", poruszający zagadnienie, czy los Kościoła jest związany z losem Europy lub losem jakiegokolwiek kręgu i typu kulturowego. — Zgodnie z zapowiedzią Wacław Grubiński (str. 5) wspomina o dziejach swej głośnej sztuki „Lenin". Na str. 1 Jan Winnicki mówi o jednej z najciekawszych katolickich sylwetek U.S.A.

WIT TARNAWSKI

DRAMAT PROMETEJSKIEJ LITOŚCI

JEDNYM z najbardziej zastanawiających zjawisk w dziedzinie sztuki słowa jest wieloznaczność niektórych — i to nieraz najwybitniejszych — jej tworów. Nie ma do dzisiaj końca wyjaśnieniom sensu Hamleta i ujęciom charakteru księcia Danii — od egzaltowanej miłości synowskiej do nieczułego egoizmu, od bezwoli do bohaterstwa. Podobnie z ostatnią powieścią Greene'a: Ileż to ukazało się oświetleń jej problematyki — rzekłbyś, że niesposób już dorzucić czegoś nowego! A jednak każdy niemal artykuł o „Sednie Rzeczy", o ile nie jest zwyczajnym przelewaniem wody na ten modny temat, przynosi wciąż jeszcze nowe myśli i własne punkty widzenia.

Zjawisko, powiedziałem, jest ciekawe. Skoro, jak należy przypuszczać, pisarz posiada z reguły jakąś określoną koncepcję tworzonego przez siebie dzieła — koncepcja ta, zdawałoby się, powinna być w czytaniu niedwuznacznie uchwytna. A jednak — zazwyczaj nawet ponad zamiar i przewidywanie pisarza — sens niejednego dzieła zwielokratnia się w oczach czytelnika. Przypomina to oglądanie samego życia, gdzie każdy fakt i każdy człowiek jest w istocie swej wielopostaciowy i dopuszczający szereg odmiennych ujęć. Widocznie pisarzom, których dzieła można tak różnolicie interpretować, udało się osiągnąć ów najwyższy stopień doskonałości w sztuce: utrafienie w tajemnicę, w samą istotę życia. Zdołali oni nadać postaciom swoim tę bryłowatość, widzialną odmiennie z każdej strony, jaką odznacza się żywy człowiek. Najczęściej zdarza się to w utworach, w które przeniknęło dużo wątków osobistych pisarza, wnosząc z sobą mimowoli powikłania i wielowarstwowość ludzkiego wnętrza. Nie uwalnia to oczywiście czytających od obowiązku doszukania się głównej myśli dzieła, — tak jak i w życiu musimy się wreszcie przychylić do jednego wyjaśnienia zjawisk obserwowanych przez siebie.

Powieść Greene'a należy do takich właśnie „bryłowatych" utworów. Czołowy jej bohater Scobie, oficer policji „gdzieś w mordobijskim powiecie" Afryki środkowej, jest człowiekiem cichym, kochającym samotność, pozbawionym gorętszych pragnień i umiłowań. Może właśnie ten brak osobistych namiętności sprawia, że do jego duszy dociera wyraźniej głos potrzeb i cierpień innych ludzi — i znowu wobec braku własnych potrzeb — znajduje pełny odzew. Na takim podłożu dwa elementy psychiczne rozwinęły się w Scobiem do chorobliwych wprost rozmiarów: litość dla wszelkiego stworzenia i poczucie odpowiedzialności niemal za wszystko i wszystkich. Ludzi tego rodzaju spotyka się naprawdę w życiu — dlatego zagadnienie jakie wyrasta z charakteru Scobiego jest zagadnieniem realnym; a że nadomiar uczucie litości jest jedną z najistotniejszych cech człowieczeństwa, jest afektem tkwiącym u samych podstaw religii chrześcijańskiej —problem jego i dzieje mają znaczenie zasadnicze.

Scobie posiada żonę Luizę a potem kochankę Helenę i między tymi dwiema kobietami rozgrywa się jego dramat. Obie kocha po swojemu, to znaczy pragnie ich szczęścia, a zwłaszcza nie znosi myśli o sprawianiu im cierpienia. Helena weszła w jego życie właściwie także dzięki uczuciu głębokiej litości, jaką wzbudziło w nim to młode stworzenie, ofiara storpedowania statku przez niemiecką łódź podwodną — w czasie gdy żona przebywała na urlopie w Afryce Południowej.

Gdy żona wraca, Scobie upada pod niemożliwym do uzgodnienia ciężarem niekrzywdzenia żadnej z tych dwu kobiet. Jego uczciwość, współczucie, zmysł odpowiedzialności, wstręt do wykrętów i kłamstw, (choć w końcu tylko wykrętem i kłamstwem może odsuwać zbliżającą się katastrofę) te najwyższe zalety ludzkiego charakteru, wplątują go coraz bezpowrotniej w łańcuch błędów i przestępstw, nie tylko przeciw ludziom ale i przeciw Bogu, pogrążając jednocześnie w tragicznej świadomości grzechu i potępienia — jego, wierzącego i praktykującego katolika. Czytelnik powieści usiłuje przez cały czas z niepokojem uchwycić moment winy Scobiego, za którą spotyka go tak ciężka wewnętrzna kara — wszyscy krytycy usiłują rzucić światło na to najtrudniejsze zagadnienie, ale niesposób zaiste uwolnić się od niepokojącego wrażenia, że Scobie zginął duchowo — bez winy.

Widzimy oczywiście, że zgubił go do pewnego stopnia brak równowagi wewnętrznej, niefortunny przerost uczuć — choćby szlachetnych samych w sobie. Ryzykowny to jednak zarzut winić kogoś o przesadę w dobrym. Zresztą wina — nie wina Scobiego sięga poza zakres i sąd tego świata — nie jest tylko zagadnieniem sprawiedliwości ludzkiej. Scobie w szaleńczym pragnieniu ratowania spokoju zarówno żony swej jak i kochanki, popełnia wkońcu samobójstwo, opuszczając z całą świadomością Boga i płacąc własnym zbawieniem, w przekonaniu, że ludzie słabi i nieszczęśliwi bardziej go potrzebują niż potężny Bóg. Autor, dla podkreślenia głębi tragedii, ukazuje że ofiara ta była daremna, bo żona wiedziała oddawna o wiarołomstwie Scobiego — a zarówno żona, jak kochanka, prędko pocieszają się po jego śmierci; na miejscu opuszczonym przez tego męczennika sumienia rozpiera się jego nędzny rywal i tuziemski triumfator Wilson. Jedyny ślad działań Scobiego na tej ziemi — to przelotne pragnienie modlitwy, zbudzone w próżnej duszy kochanki, oraz żarliwe ujęcie się za samobójcą księdza, co znał najlepiej duszę tego grzesznika mimowoli.

Jest to bezwątpienia zamało, ażeby wrócić równowagę tej gorzkiej i ponurej książce. Zaniepokoiła ona niektórych krytyków katolickich do tego stopnia, że zarzucili jej herezję. Najpowszechniej jednak próbowano zlekceważyć lub zracjonalizować jej tragiczny sens. Przyjrzyjmy się najpierw paru takim próbom przykrojenia myśli Greene'a.

Najczęstsza, rzekłbym ortodoksyjna, interpretacja dramatu Scobiego podkreśla niedobrą przesadę jego współczucia i grzeszną chęć odpowiadania za wszystko; Scobie zamało ufa ludziom i Bogu — gdy człowiek

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

JAN WINNICKI

CZŁOWIEK UBOGI

W MAJU tego roku zmarł w Stanach Zjednoczonych pewien człowiek, który zapewne przez całe swe życie nie nosił innej odzieży jak darowaną, nikomu już nie przydatną. Zmarł w tym ubóstwie, które wyznawał, pochowany na cmentarzu ubogich, w ubraniu, podjętym ze śmietnika, w trumnie najtańszej, która aż do pogrzebu stała wraz ze zwłokami w jakichś składach fabrycznych.

Wszystko to było by dotąd podobne do wielu, wielu innych historyj. Ale oto setki ludzi odwiedziło skład z jego trumną, setki szły na cmentarz, niektórzy przybywszy z bardzo daleka. Byli tacy, którzy pocierali różaniec o jego martwe dłonie. Na ten dziwny pogrzeb kardynał Spellman przysłał swego zastępcę.

Kim był ten c z ł o w i e k u b o g i , którego tak czczono?

Emigrant i syn emigrantów, przeszmuglowanych swego czasu do USA. Piotr Murin z południowej Francji. Uczył się jakiś czas u Braci Szkolnych. Potem sam nauczał w jednej z ich szkół .Lecz wybrał inny zawód— został dobrowolnym trampem, bezdomnym łazikiem po Kanadzie i Stanach, próbując wszystkich rzemiosł i rodzajów pracy fizycznej, aby do wszystkich dostać się środowisk. A przede wszystkim do najniższych, najbardziej krzywdzonych przez kapitalizm.

Nie, nie kierował się podstępem na agitatora.To, co robił, robił z przekonania i własnej potrzeby. Sam przecież musiał i żyć i zarobić. Ale nie chęć zysku, nawet tak nędznego zysku nim powodowała.

Prowadził go jakiś wewnętrzny mus, prowadził i w zewnętrznych koniecznościach życia przez żar duszy, przez myśl i przez przeczucie, które kazały mu to imać się pracy, to znów ją rzucać, aby iść dalej. Pracować i — nauczać. Bo nauczanie uważał za swe zadanie naczelne.Nauczanie tych, do których prawda nie dochodzi.

Dlatego też sam każdą wolną chwilę obracał na uczenie się własne. Z czasem zaczęto go uważać za najbardziej oczytanego człowieka. I stał się jakby nowoczesnym katolickim Sokratesem mas. Mas, lecz i każdego osobnego c z ł o w i e k a , który wdał się z nim w rozmowę. Jak Sokrates nauczał dyskusją i pytaniami. Bar, kolejka podziemna, ulica, warsztat, każde miejsce było dlań dobre na to przygodne a wstrząsające nauczanie.

Swój „urząd" połączył z miłością pracującego proletariatu i namiętną, całkowitą, skrupulatną, pełną szczególnych „wymagań" wiernością fizycznemu ubóstwu własnemu. Chciał być człowiekiem w y z u t y m i został nim tak doskonale, że w końcu ostatnie lata, ostatnich kilka lat starczego, steranego życia, żył poza użytkiem rozumu niejako, z mózgiem zastygłym i sparaliżowanym.

Ale myśl jego, ale prawda jego wyzutego życia jaśniały już wtedy daleko. Pisywano doń liczne listy, proszono o rady, wyjaśnienia, nie podejrzewając, że już czytać nie może. Lecz rosły te myśli i iskrzyły się już przez innych w specjalnym wydawnictwie „Robotnik Chrześcijański", o którym powiedziano, że przy nim komunistyczny „Daily Worker" jest organem skrajnej reakcji.

Piotr Murin, syn chłopski, nie uznawał komunizmu. Nie uznawał, bo całe życie właśnie zwalczał maszynę. Jakże by więc mógł uznać kierunek, dążący do uniwersalnego zmaszynizowania człowieka. A on chciał przywrócić człowiekowi maksimum praw osoby ludzkiej. Pozyskawszy wiernego sprzymierzeńca w pisarce amerykańskiej Dorothy Day, stał się Piotr twórczą przyczyną całego ruchu społeczno-duchowego. Już dziesięć spółdzielczych farm robotniczych powstało z tego ruchu w Stanach.I cała sieć tzw. „domów gościnności" gdzie przyjmuje się każdego na tak długo, jak mu potrzeba, jak sam chce, dając mu to, co się samemu w danej chwili posiada.

Hasłem Piotra było, że komunizm należy zwalczać. Ale, że odczyty, referaty, rezolucje, meetingi, demonstracje i wszelkie „katolickie gadanie" po różnych organizacjach — to nie jest walka. Nie ta przynajmniej, której potrzeba przede wszystkim. Że o wiele bardziej skutecznym sposobem jest zwalczać komunizm dziełami sprawiedliwości i miłosierdzia, osobistymi i korporacyjnymi, takimi, jakie są znane z tradycji i teraźniejszości praktyki katolickiej. Przy tej okazji warto przypomnieć, że nowy katechizm katolicki, wydany w Stanach staraniem Episkopatu po wielu latach dyskusji, na pytanie o dzieła miłosierdzia odpowiada, że należą do nich również studia i praktyczne starania, aby zmienić ustrój kapitalistyczny, który moralnie upadla człowieka i pogrąża go w nędzę przez sztuczne bezrobocia. Twierdzi jednak Piotr, że najlepszym sposobem na komunizm jest praktykowanie samemu i zbiorowo powołanego znów do życia starochrześcijańskiego pojęcia własności tylko jako „zawiadywania" rzeczami Bożymi, odżycia starochrześcijańskiej współzależności bogatych i ubogich oraz zrozumienia i praktyki, że miłosierdzie, także w sensie sprawiedliwości społecznej, jest bezkompromisowym obowiązkiem.

Pogląd Murina jest po prostu wyznaniem, że komunizm zaatakował, jak choroba, osłabione po wiekach organa chrześcijańskiego rozumu i serca. To właśnie podkreślił O. Bocheński: Powrót do społecznego chrześcijaństwa! Powrót najistotniejszy: osobisty, a nie tylko partyjny i organizacyjny, jest na tę chorobę najlepszym lekarstwem, tak jak w dziedzinie anarchii umysłowej uzdrawia i leczy powrót do źródeł istotnie chrześcijańskiej i katolickiej myśli.

Piotr głosił całe życie, że wbrew żądzy kapitalistycznego materializmu zachodniego, łaknącego bogactwa,bogactwa przede wszystkim, że wbrew zmechanizowaniu standartowego materializmu komunistycznego, niosącego ni to ubóstwo ni to bogactwo a wyzuwającego z wszystkiego, że, wreszcie, wbrew zabezpieczającej bezmyślność namiastce bogactwa i snobizmu na nie: tylko ubóstwo dobrowolne i jego duchowe zrehabilitowanie oswobadza wartości indywidualne i osobowe człowieka. Tylko ubóstwo dobrowolne (ubóstwo, nie nędza) odradza człowieka, odnajduje człowieczeństwo i jest drogą łaski Bożej dla nieszczęsnego robota, niweczonego mechanizacją i kapitalizmem tak lewicowym jak i prawicowym .

Od lat kilkudziesięciu coraz więcej wielkich umysłów głosi uwolnienie człowieka i odrodzenie przez przyjęcie dobrowolnego ubóstwa. Idzie nowy świat.Może będzie on, jak to podkreślili Eryk v. Kuehnelt Leddhin i Jacques Maritain mniej urodziwy, mniej wygodny do życia, ale za to będzie niewątpliwie lepszy, zdrowszy.A Piotr Murin był i j e s t, i to w Ameryce, apostołem tego jutra. Piotr Murin, trochę św. Franciszek, trochę święty łazik Józef Benedykt Labre, trochę Matt Talbot, trochę św. Jan Boży i jeszcze wielki myśliciel w jednej osobie.

Wydaje się jednak, że świat zdrowieje.

Jan Winnicki

może współczuć i brać na siebie odpowiedzialność za losy innych ludzi, tylko do pewnych granic, powierzając resztę Bogu.

Bardzo rozsądnie — ale nie widzę w samym tekście powieści, w przeżyciach Scobiego, dostatecznej podstawy do takiej interpretacji. Jeśliby myślą autora było, że Scobie, obciążając się całą odpowiedzialnością za los Heleny i Luizy, zawinił przede wszystkim brakiem zaufania w Boską opiekę nad nimi — autor nie omieszkałby chyba zaznaczyć, że Bóg po śmierci Scobiego zaopiekował się w jakiś sposób obiema kobietami, gdy w rzeczywistości uczynili to Wilson i Bagster — napewno nie dla dobra kobiecych dusz. To jedno. A drugie: bezpieczniej już nie odwracać ewangielicznej zasady o miłowaniu bliźniego — na świecie, gdzie i tak kocha się przede wszystkim siebie. Jakaż to bowiem świetna furtka dla ludzkiego egoizmu zostawiać bliźnich na łasce losu — w kojącym przekonaniu, że powierza się ich Bogu. Umiarkowanie nie bywa cechą wielkich uczuć, wielkich osiągnięć i wielkich tragedii. Czyż przestrzegali Święci Pańscy granic swoich obowiązków, w stosunku do bliźnich? Oczywiście z punktu widzenia praktycznego — co liczy się przede wszystkim z wygodą i bezpieczeństwem psychicznym — zwolennicy umiaru w dobroczynności i współczuciu mają dużo racji. Ale powieść Greene'a zdaje się wykraczać daleko poza zakres podręcznika praktycznej nygieny moralnej.

Jeśli w czym możnaby się dopatrywać u Scobiego braku poczucia granic tego, co ludzkie a co Boskie — to raczej w jego skłonności do rozpraw z Bogiem, w racjonalistycznym podejściu do spraw nadprzyrodzonych. Ale i ten zarzut odpadnie, jeśli zważymy, że jest to swoista i powszechna cecha protestanckiej umysłowości w stosunku do zagadnień religijnych — od której nawet katolicy tutejsi nie są wolni.

Najmniej przemawia mi do przekonania wykrętne ujęcie, że Scobie to tchórz moralny, „a bad moral coward" — ponieważ nie umiał zdobyć się na rozcięcie fałszywej sytuacji i uciekał do końca przed zadawaniem cierpienia. W ten sposób chirurg, który porzuca chirurgię, bo nie chce używać noża, zasługiwałby również na nazwę tchórza — a sprawdzianem odwagi stałaby się zdolność do zadawania bólu. Istnieje co prawda pewien rodzaj litości czy delikatności, który rzeczywiście graniczy z tchórzliwością. W niechęci do sprawiania cierpienia i krzywdy może się kryć po prostu obawa żalu i pretensji ze strony osób skrzywdzonych. Litość tego rodzaju wypływa nie z prawdziwego współczucia, lecz ze słabości wewnętrznej i nie można jej zaliczać do kategorii moralnych (klasyczny przykład: Adolf z opowieści B. Constant). Najlepszą próbą takiej egocentrycznej, drugorzędnej litości, jest obojętność tych pozornie litościwych na cierpienia, za które bezpośrednio nie odpowiadają, które zadaje ktoś inny. Ale cecha powyższa wiąże się zawsze z całym typem człowieka: nieśmiałym, giętkim, ustępliwym, obawiającym się stale narazić komuś lub dotknąć. Nie wolno żonglować elementami psychicznymi, choć podobnymi z pozoru — bez przymierzenia ich do całości charakteru, czy się w niej mieszczą. Nieugięty w obliczu silnych i bezsilny wobec słabych Scobie—jest raczej przeciwieństwem typu „moralnego tchórza", a zaliczanie go do tej kategorii musi wydać się, w najlepszym wypadku, paradoksem.

Podobnie należy ocenić interpretację postawy Scobiego jako zamaskowanej odmiany egoizmu: że jego litość prawość, poczucie odpowiedzialności podszyte są upartą ambicją Katona, który woli pójść drogą wykrętów, kłamstw i obłudy, aniżeli przyznać się przed sobą i ludźmi do porażki własnych cnót. Sprowadzanie wszystkiego do mianownika egoizmu, to częsta omyłka ze strony tych, co umieją podpatrzeć bystro osobiste elementy w każdej pasji moralnej, lecz nie rozumieją istoty ani mocy samych pasji — i w gruncie nie wierzą w nią. Tym sposobem wszystkie motywy w życiu możnaby sprowadzić do egoistycznych, skoro wyrastają z podłoża osobowości — ego — i z niem się wiążą. W ofiarności, bohaterstwie, w miłości nawet, możemy bez trudu wyśledzić podpórki egoistyczne — ale obecność takiej przymieszki nie wyjaśnia nam wcale istoty tych afektów, ani nie może narzucać im nazwy. Jakże określić moralnie bezwzględnego samoluba i utajonego pyszałka Wilsona — jeżeli Scobie ma być egoistą?

Dosyć jednak rozprawiania się z cudzymi ujęciami. Zwróciłem uwagę na te poniżenia postaci Scobiego, na próby zlekceważenia samego problemu — by uwyraźnić jego, moim zdaniem, wielką metafizyczną powagę. Zwyczajny to wykręt umysłu ludzkiego — gdy zagadnienie jakieś przerasta go i zatrważa — pomniejszyć je, podsunąć powszednie motywy.

Zacznę od cytatu z powieści, który ma wyraźny charakter osobistej refleksji autora i od którego znaczenia i powagi trudno się przy wyjaśnianiu jej sensu uchylić:

„Rozpacz jest ceną, jaką się płaci za postawienie sobie nieosiągalnego celu. Jest ona grzechem niewybaczalnym, jak nam mówią, grzechem tego nie popełni jednak nigdy człowiek zepsuty ani zły. Takiemu zawsze przyświeca nadzieja. Nie dosięga on nigdy granicy, poza którą wie się, że wszystko przepadło. Tylko człowiek dobrej woli nosi zawsze w swym sercu tę zdolność do zgubienia siebie".

Już ta refleksja — zadziwiająco bezpośrednia, jak na powściągliwego Greene'a — powinna nadać właściwy kierunek naszym poglądom na sprawę Scobiego, jeśliby w wyższym jeszcze stopniu nie czynił tego sam opis jego przeżyć.

Decydujący dla zrozumienia powieści wydaje mi się jej rozdział ostatni: rozmowa księdza Ranka z Luizą, żoną zmarłego. Rozmowa ta stanowi wyraźną i żarliwą obronę Scobiego. Wiara księdza w zmiłowanie Boże nad samobójcą i jego wypowiedzi, że nie grzechy człowieka lecz cnoty mają znaczenie, że Scobie nie był złym katolikiem i że naprawdę kochał Boga — świadczą, iż pisarz przez usta księdza, opowiada się z całym przekonaniem za swym bohaterem; i wierzy, że tragiczna droga którą ów kroczył, nie powiodła go ku potępieniu. Pasja z jaką ksiądz Rank mówi do Luizy: „Proszę nie wyobrażać sobie, że pani albo ja — wiemy cokolwiek o miłosierdziu Boskim!" — wydaje się niemal osobistym odruchem autora.

Określenie „sedno rzeczy" (The heart of the matter), które dało podstawę do tytułu powieści, znajdujemy w jej tekście tylko raz. Tymbardziej więc trzeba na ten ustęp zwrócić bystrą uwagę. Scobie, oglądając pozorny spokój szpitaliku, w którym konają ofiary storpedowanego statku, rozważa: „Jeżeliby się znało fakty, czy nie trzebaby się litować nawet nad gwiazdami? — jeśliby się dotarło do tak zwanego sedna rzeczy?"

Sedno rzeczy, do jakiego docieramy w powieści nie przedstawia się wesoło. Greene najwyraźniej nie jest amatorem doczesnego świata. „Cóż za bezsens spodziewać się szczęścia na świecie tak pełnym cierpień?" myśli Scobie. „Wskażcie mi szczęśliwego człowieka, a ukażę w nim egotyzm, samolubstwo, zło — albo też zupełną nieświadomość". „Niedola — oto właściwy przydział człowieka" żali się Harris, dla którego czasy szkolne, bynajmniej nie wesołe, były jeszcze najszczęśliwszym okresem życia. „Nawet miłość to najwyżej kilka taktycznych powodzeń przed ostateczną klęską śmierci lub zobojętnienia" dochodzi do smętnego wniosku Wilson. Ideałem Scobiego nie szczęście jest, lecz spokój, nic więcej nad spokój — uwolnienie od cierpień. Będzie on wspominał spacer wśród ulewy, samotny i niezmącony przez miłość ani współczucie, jako najszczęśliwszą chwilę swego życia.

U Greene'a nie ludzie są zasadniczo źli, nietyle oni są przyczyną nieszczęść i zła, ile samo życie jest w swej istocie złe i nieszczęsne. Ludzie wydają się raczej marni, słabi, niedojrzali do cnoty i grzechu. Zresztą jest to bodaj ich szczęście — bo najwięcej cierpią dojrzali. Oni tylko — najlepsi, stykają się z ostatecznymi konsekwencjami powikłań i sprzeczności tego niewesołego świata.

Szczególnie musi niepokoić w tym ciemnym obrazie, że cierpienie, — pospólny udział ludzkości — nagołnie da się usprawiedliwić winą. Ludzie pokarani cierpieniem zazwyczaj albo nie dorastają psychicznie do takiej kary, albo nie zasługują na nią. Jakże często są to całkiem niewinne dzieci (ofiary storpedowanego statku) albo ludzie nie dojrzali jeszcze do odpowiedzialności za swe czyny (samobójca Pemberton, a choćby Helena), to znowuż jakby nadmiernie dojrzali, o sumieniu przeczulonym i męczeńskim, których przedstawicielem jest sam bohater powieści, Scobie. Na nim to przeprowadza Greene swój czołowy pokaz okrucieństwa życia — przedstawiając nam już nie tylko historię niezawinionych cierpień (które są doczesne i przemijające) ale popadnięcia w grzech śmiertelny (co gubi duszę na wieki) — również bez istotnej winy.

Autor ze zdumiewającym mistrzostwem, uporem i precyzją ukazuje narastanie tej grzeszności Scobiego, jego skłócenia z ludźmi i z Bogiem — bez złej woli a przede wszystkim bez uchwytnego początku. Któż potrafi oznaczyć gdzie jest zalążek winy bohatera? Trudno uwierzyć, ażeby było nim pożyczenie dwustu funtów na wyjazd żony — czyn, którego żaden kodeks moralny, prócz złej plotki, nie może potępić. A przecież od tego się wszystko zaczęło i jak niestrzymana lawina dalej toczy. Świat Greene'a to zaiste świat potwornych konsekwencji, przemyślna pułapka na człowieka, niby ów afrykański dom publiczny, w którym Wilson, raz wszedłszy, musi już pozostać, choćby rad był uciec jaknajprędzej. Kto wie, czy obmierzła ta scena nie jest w zamierzeniu pisarza ironicznym wariantem na temat sprawy Scobiego? Ale u Wilsona zaczęło się przynajmniej od niepięknego zamiaru, za który trzeba płacić. Za co płaci Skobie? Toteż od pierwszych już rozdziałów powieści wyczuwa się, jakie jest założenie autora: grzech poczęty z litości, wina zrodzona z cnoty. Czyż jednak wina może być w takim wypadku winą?

Oczywiście, w niedostrzegalny, stopniowy i zaledwie zrozumiały sposób. Scobie zaplątuje się w końcu w winę, a przede wszystkim w rozpaczliwe poczucie tej winy. Następuje chwila, gdy przyjdzie mu niemal przygarnąć śmierci wiernego sługi i wziąć półświadomy udział w zbrodni. Ale są to — podobnie jak związanie się z Heleną — chwile załamania się i słabości, od których nawet najlepsi nie mogą być wolni, dokonujące się niemal poza wolą i świadomością, narzucone przez pułapkę zewnętrznych okoliczności. Autor zdaje się troskliwie dbać o to, by na podstawie tych dwu najcięższych doczesnych przestępstw czytelnik nie mógł potępić Scobiego, obwinić go wyraźnie. Nawet najcięższy grzech Scobiego: poświęcenie Boga dla ludzi, ma cechy tak wzniosłe, że stawia czytelnika na rozdrożu również w ocenie tej najgroźniejszej winy.

Jest to w powieści moment szczególnej wagi i dlatego warto zająć się nim szerzej. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Greene stoi, a w każdym razie pragnie stać, na stanowisku katolickiej prawowierności. Dla powieściopisarza wierzącego stosunek jego bohatera do Boga musi mieć znaczenie zasadnicze. Przebieg tej najważniejszej próby rozstrzyga zatem o nastawieniu i intencjach pisarza. Formalnie mamy do czynienia z najcięższym grzechem, jakiego może dopuścić się chrześcijanin: przełożenie stworzenia nad Stwórcę, świadoma rezygnacja ze zbawienia duszy. Nie wiem jednak, czy istnieje w literaturze świata równie pomysłowe wybielenie grzesznika od strony wewnętrznej, podsunięcie ofierze grzechu tak czystych motywów, stworzenie atmosfery tylu okoliczności łagodzących. Przypomnijmy sytuację:

Scobie, w chwili gdy przychodzi mu wybrać między Bogiem oraz zbawieniem własnej duszy a spokojem dziecinnej i niedojrzałej Heleny, zwraca się do Boga myślami: „O Boże, nie mogę jej opuścić. Ani Luizy. Ty mnie nie potrzebujesz, tak jak mnie one potrzebują. Masz swoich dobrych ludzi, swoich świętych i wybrańców, możesz beze mnie się obyć". „Jestem komisarzem policji. Muszę za wszystko odpowiadać. To mój zawód opiekować się drugimi, mój obowiązek służyć ludziom". I Scobie z całą świadomością poświęca swoje wieczne zbawienie, ażeby oszczędzić doczesnego cierpienia Helenie i Luizie — dokonywa ofiary niepojęcie koszmarnej, nadludzko altruistycznej. Postanawia: niech ja będę potępiony — byle im było dobrze. Nie zapomnijmy że czyni to ażeby oszczędzić dalszych cierpień, jeszcze komuś innemu. Na krótko przed śmiercią Scobie rozmyśla:

„A po tem zacznie się piekło — i będziecie już przedemną bezpieczni" Helena, Luiza i Ty — Boże".

Warto sobie uświadomić, że Scobie poświęca siebie bez doczesnej nawet zapłaty. Kto odwraca się od Boga dla miłości człowieka, ma coś wzamian: szczęście miłości. Scobie Heleny nie kocha — nie otrzymuje więc za swoją ofiarę niczego. Jest to zaiste ofiara nieludzko bezinteresowna.

Rzecz jasna, że cała ta apologia Scobiego musi być prowadzona na mącącej wzrok granicy zła i dobra i że nie zmniejsza ona wcale niepokoju, jaki towarzyszy czytelnikowi od początku powieści; tym bardziej, że autor, z dużym poczuciem rzeczywistości, nie przeoczą nieuniknionej deprawacji jakiej Scobie powoli ulega pod naciskiem swego niemoralnego położenia.

Ale Greene przez swoją mistrzowską motywację wewnętrzną przewinień Scobiego zdołał wpoić w nas głęboką nadzieję, jeżeli nie pewność, że Bóg — którego Scobie tak ciężko dotknął — ale który patrzy w istotę, w motywy, nie zaś na formę postępków, nie potępi bohaterskiego grzesznika. W naszych zaś ludzkich oczach, Scobie, który nie potrafił poświęcić ludzi, nawet dla własnego zbawienia, wyrasta na jakiegoś chrześcijańskiego Prometeusza — Prometeusza, co tak samo naraził się bogom i zgubił siebie, z bezgranicznej litości nad ludźmi.

Zamiar pisarza — widzialny zresztą od początku — został potwierdzony ostatecznie. Greene w najbardziej ryzykownym z punktu widzenia prawowierności katolickiej przewodzie — nie tylko nie odstąpił swego bohatera, lecz jeszcze wywyższył go w naszych oczach. Nie wahał się w tym celu stanąć na granicy paradoksu moralnego: grzesznika, co przekroczył najświętsze z przykazań, wprowadził, — w myśl czołowego cytatu z Péguy — w „samo serce chrześcijaństwa". Nie możemy już żywić wątpliwości, co pisarz chce powiedzieć pod obrazem dziejów swego bohatera: obwinia nie grzesznika, lecz nieuchronność sideł grzechu, ukazuje w Scobiem nietyle winowajcę, ile ofiarę.

I tu wyłania się zagadnienie litości — uczucia które stało się zgubą Scobiego. Zdawałoby się, że litość, wielka litość, jest nie tylko naturalną reakcją uczuć na ukazane przez pisarza smutne sedno rzeczy, ale może być pewnego rodzaju pociechą, rozwiązaniem, ratunkiem — że ona właśnie może złagodzić nieco i rozładować tragedię świata. A jednak i litość, której niepodobna się przecież oprzeć na widok ludzkich cierpień, która jest uczuciem czystym, ewangelicznym, niemal odbiciem miłosierdzia Boskiego w człowieku — nawet ona niczego nie zmienia, nie ratuje ani litośnika ani litowanych; co gorsza, jest nową zasadzką. Tak więc ukazuje się ostatni zakręt potwornego labiryntu, w którym zabłąkany jest człowiek: że nawet litość może go wkońcu pogrążyć w grzechu i zgubić. O tym to przede wszystkim problemie zgubienia człowieka przez uczucie litości, zgubienia nie przez jej niedostatek lecz przez nadmiar — o najbardziej niesprawiedliwym i wyrafinowanym szczególe dramatu świata — opowiada nam powieść Greene'a.

Trzeba przyznać, że nawet u niewierzących pisarzy rzadko spotyka się tak bezwzględny i pomysłowy atak na sens i sprawiedliwość ludzkiego istnienia jak u katolika Greene'a. Gdyby nie wyczuwało się w tym wszystkim głębokiej szczerości uczuć, i przekonań autora — możnaby wynieść wrażenie tendencyjności a nawet sztucznego zaciemnienia obrazu życia.

Jak widzimy, pisarza dręczy zagadnienie sensu ludzkiego cierpienia i to w jego najjaskrawszej formie, bo cierpienia niezasłużonego — cierpienia dzieci niewinnych i ludzi do głębi sprawiedliwych; cierpienia nie tylko bez winy — lecz cierpienia za cnotę; wreszcie winy — zrodzonej nie z grzechu, ale właśnie z cnót ludzkich. Autor pokazuje ten niepojęty i cierpiący świat Bogu i zdaje się pytać: dlaczego i za co?

Zagadnienie postawione przez Greene'a nie jest błahe, ogłędne ani spokojne. Jest ono w istocie swej rozpaczliwe i poczęte z rozpaczy. Mogłoby się wydać buntownicze. Stajemy zatem naprawdę wobec niepokojącego pytania: czyżby ten katolicki pisarz zwątpił w sens świata i sprawiedliwość Bożą?

Intuicja odpowiada nam na to pytanie szybciej, niż rozsądek. W powieści Greene'a nie wyczuwamy herezji, — choć nie odrazu umiemy sobie zdać sprawy dlaczego. Wyczucie to zawdzięczamy nie tylko temu, że pisarz, zamykając utwór, nie porzuca sprawy Scobiego bez nadziei na ostateczne słuszne jej załatwienie; właśnie po końcowym akcencie powieści, słowach księdza Ranka, odnosi się wrażenie, że autor ufa, iż Bóg w sprawiedliwości swej i miłosierdziu nie zezwoli, by Scobie, ofiara nadludzkiej litości — został potępiony.

Ważniejsze i najbardziej istotne dla postawienia nastroju powieści wydaje mi się jednak co innego. Choć Scobie idzie ku potępieniu, Bóg nie opuszcza go do końca, jest do ostatniej chwili realny dla niego i bliski. Rzekłbyś, że im głębiej Skobie brnie w swym grzechu, tym bardziej Bóg o niego zabiega. Nawet w momencie

(Dokończenie — obok)

JANUSZ RAKOWSKI

ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

Profesor Stanisław Gryziewicz, autor pierwszej europejskiej książki w języku polskim o współczesnej technice polityki gospodarczej, jest znany naszym Czytelnikom z cyklu kapitalnych artykułów drukowanych przez ŻYCIE w zeszłym roku (kwiecien, maj). Przed wojną ogłosił „Problem surowcowy Polski" (1934), „Rynek węglowy w Polsce" (1939), a w czasie wojny w Londynie, „Na marginesie zagadnienia rozwoju gospodarczego Polski" (1944). Po wojnie zaś z większych prac nakładem „Przeglądu Polskiego" ukazała się wielkiego znaczenia rozprawa „Katolicyzm a sprawy gospodarcze" oraz książka, którą poniżej omawia dr Janusz Rakowski „Środki polityki gospodarczej".

Metodę prof. Gryziewicza cechuje całkowita wolność od doktrynerstwa przy najgłębszym szacunku dla uniwersalnej ważności — doktryny. Albowiem wbrew rozpowszechnionym polskim sloganom — rzeczą najbardziej praktyczną jest głęboka znajomość teorii.

Stanisław Gryziewicz jest na terenie ekonomii przedstawicielem tego szeroko pojętego kierunku, który za Maritainem nazywamy humanizmem integralnym. Głównym podmiotem gospodarowania jest człowiek; formy zaś gospodarowania są rzeczą drugorzędną i żadnej roli samodzielnej nie mogą spełniać. W tym prof. Gryziewicz opowiada się za stanowiskiem wolności katolickiej, widzącej przede wszystkim i przed wszystkim osobę ludzką i jej prawa (lecz również i rozumne ograniczenia jednostki na rzecz innych osób i naturalnych grup społecznych) i nie podziela żarliwej wiary tak zwanej lewicy społecznej w panaceum tego, co nazwano instytucjonalizmem społecznym. a więc kierunkiem, głoszącym niemal religijną ważność f o r m y ustroju i instytucyj społecznych i ekonomicznych. Albowiem, jak pisze: „Formy ustrojowe są rzeczą drugorzędną... Najlepiej pomyślane formy ustrojowe nie zapobiegną piekłu w życiu społeczno-gospodarczym przy człowieku zmaterializowanym i myślącym w kategoriach światopoglądu materialistycznego. Nie ma takich rozwiązań ustrojowych, które eliminowałyby problem jakości człowieka."

Okoliczności tak się złożyły, że dopiero dziś ukazuje się w ŻYCIU omówienie tak ważnego i jedynego w polskiej literaturze ekonomicznej dzieła.

REDAKCJA

O „ŚRODKACH POLITYKI GOSPODARCZEJ" Stanisława Gryziewicza (Instytut Literacki, Paryż, 1949, str. 209) pisałem już w Nr. 13 (351) „Orła Białego" z dnia 26 marca 1949. Kiedy pisałem swoją recenzję, nie była mi znana krytyka p. W. A. Zbyszewskiego w „Wiadomościach", Nr. 148 z dn. 30 stycznia 1949. Niemal w tym samym czasie, w marcowym numerze „Myśli Polskiej", ukazało się omówienie pracy Gryziewicza pióra p. Jerzego Zdziechowskiego. O ile to ostatnie, w ogólnym swym nastawieniu, jest zgodne również z moją pozytywną oceną książki, o tyle „krytyka" p. W. A. Zbyszewskiego nie pozostawiła na niej suchej nitki. Niech mi wolno będzie — tak dla oryginalności tej nowej recenzji, którą piszę na zaproszenie ŻYCIA — rozpocząć od paru uwag pod adresem krytyki negatywnej.

W. A. Zbyszewski zarzucił St. Gryziewiczowi popełnienie szeregu ciężkich błędów, jak „zbędność (zgoła) rozdziałów teorytycznych o dochodzie społecznym, użyteczności krańcowej, pieniądzu i kredycie, skarbowości i stu innych najtrudniejszych zagadnieniach", nieuwzględnienie polskiej literatury przedmiotu, „parafiańską próbę wprowadzenia kryteriów moralnych do ekonomii", nieuwzględnienie najkapitalniejszego zagadnienia moralnego ekonomii jakim jest — zdaniem surowego krytyka — „kwestja płodzenia potomstwa", a więc szereg przewinień dokonanych wręcz, bądź wynikających z Gryziewicza „culpa in omittendo".

Z tych wszystkich zarzutów jeden gotów jestem częściowo podzielić, t.j. nieuwzględnienie literatury polskiej. Już w mej recenzji w „Orle" podkreśliłem niedostateczne oparcie pracy o literaturę naukową pozaangielską, literaturę bardziej praktyczną, której nie należało by pomijać przy traktowaniu problemów polityki gospodarczej, a w szczególności interwencjonistycznej. Doprawdy jednak, nie odważyłem się wówczas wymienić wśród pominiętej literatury wydawnictw w naszym ojczystym języku polskim. Po pierwsze dlatego, iż wiem, że literatura ta jest niesłychanie trudno dostępna zagranicą. Po drugie dlatego, że jest ona bardzo uboga z punktu widzenia przedmiotu traktowanego przez Gryziewicza i bardzo — proszę mi wybaczyć, to śmiałe stwierdzenie uwłaczające naszej narodowej dumie — nienaukowa.

„Mieliśmy — pisze p. Zbyszewski — przed wojną przynajmniej jedno dzieło wiekopomne w tej dziedzinie, a mianowicie Tennenbauma „Strukturę gospodarstwa polskiego". Tak się złożyło, że „wiekopomną" tę pracę miałem sposobność przeczytać po raz drugi, przy redagowaniu w Szwajcarii w czasie wojny tomu ekonomicznego Encyklopedii o Polsce w latach 1919-1939, wydawnictwa dokonanego z inicjatywy ś.p. Jana Modzelewskiego. Ten smaczny „myśliwski bigos", jaki się w tej pracy znajduje, gęsto podlany sosem lewiatańskiego liberalizmu, może być różnie nazywany, świetną i inteligentną krytyką polityczno-gospodarczą, pamfletem antyrządowym, czy jak kto woli, ale nie ma on nic wspólnego z literaturą naukową, którą można by polecać dla studiów teorytycznych obok Benhama, Robertsona, Pigou, Schumpetera czy nawet Keynesa.

Mam poważne wątpliwości, czy p. Zbyszewski, atakując St. Gryziewicza za „zgoła zbędne" rozdziały teoretyczne, wogóle rozumie, co to jest n a u k a e k o n o m i i, którą za Langem (też autorytet!) nazywa „nauką o użyteczności posunięć gospodarczych", źle zresztą interpretując pojęcie „administration of scarce resources". Wymieniając nazwisko zmarłego w dn. 28 grudnia 1946 r. prof. Tennenbauma, p. Zbyszewski przypomniał mi jednak, że już tu, na emigracji, Henryk Tennenbaum napisał książeczkę p.t. „Zarys polityki gospodarczej", która ukazała się w Londynie w r. 1947 w wydawnictwie „Świątpolu"; w pracy tej (246 str.) St. Gryziewicz zamieścił wspomnienie pośmiertne poświęcone jej autorowi. Można mieć rzeczywiście za złe prof. Gryziewiczowi, że w świeżej swej pracy nie wspomniał o książce Tennenbauma, gdyż z niej p. W. A. Zbyszewski dowiedziałby się, iż „Polityka gospodarcza jest wiedzą, której zadaniem jest zalecanie zabiegów i metod, przy których zastosowaniu można osiągnąć postawione sobie c e l e. Aby móc dawać zalecenia, trzeba poznać rzeczywistość gospodarczą i charakter procesów gospodarczych, gdyż dopiero na podstawie znajomości faktów i zjawisk, można dawać zalecenia i wskazania. Stąd **wynika, że polityka gospodarcza opiera się na ekonomii politycznej,** to jest nauce, starającej się wytłumaczyć związki, zachodzące pomiędzy faktami i zjawiskami gospodarczymi" (13).

Gdyby p. Zbyszewski przeczytał te zdania, nie zarzuciłby prawdopodobnie Gryziewiczowi „zbędności rozdziałów teoretycznych" w pracy o środkach i metodach interwencjonizmu gospodarczego. Bo przecież prof. Tennenbaum też czuł się zmuszony potraktować w swej pracy zagadnień teoretycznych w rozdziałach o sile nabywczej, bilansach, cenach, kredytach, monopolach i „stu innych najtrudniejszych zagadnieniach" co dla każdego ekonomisty, rozumiejącego związek między polityką gospodarczą i teorią ekonomii jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą i uzasadnioną. Właściwe i jasne sprezentowanie tej łączności między teorią i polityką ekonomiczną, t.j. między nauką traktującą o związkach zachodzących między faktami i zjawiskami gospodarczymi („Zadaniem nauki — mówi Gustaw Cassel — jest w pierwszym rzędzie przestudiowanie zjawisk ekonomicznych tak, jak wyłaniają się one w życiu i wyjaśnienie ich wzajemnych związków") oraz wiedzą traktującą o sztuce użycia środków dla osiągnięcia zamierzonych celów gospodarczych, jest rzeczą niesłychanie trudną, która nie udała się dotychczas żadnemu z największych ekonomistów. W swych rozdziałach teoretycznych Gryziewicz nie osiągnął również, to pewne, szczytów jasności, jakie mogły by zadowolić wymagania laika; nie popełnił on jednak napewno błędu, gdy w pracy o „środkach polityki gospodarczej" szukał ich związku z teorią ekonomiczną.



STANISŁAW GRYZIEWICZ

Czego wymaga się od teorii i czego od polityki gospodarczej?

Są to zagadnienia podstawowe; brak właściwego na nie spojrzenia jest powodem wszelkich dalszych nieporozumień i nieskończonych profesjonalnych i laickich sporów, które zaśmiecają całą naukę ekonomii i wpędziły ją w dzisiejszy ostry i przewlekły kryzys. Każda teoria naukowa, w szczególności w zakresie zagadnień społecznych, wychodzi z pewnych założeń, bez których skonstruowanie jej jest niemożliwe. Założenia te tworzą w sumie pewien schemat myślowy. Liberalizm (założenie idealne wolności gospodarczej i politycznej) oraz pojęcie „homo economicus", człowieka kierującego się wyłącznie przesłankami myślenia gospodarczego (drogą najmniejszych środków do największych rezultatów), fikcji, nie istniejącej w życiu ale użytecznej dla teorii poznania — tworzyły schemat myślowy teorii ekonomicznej, nazywanej i n d y w i d u a l i z m e m. Założenie teoretyczne równości między ludźmi i nieuzasadnionego wyzysku jednych przez drugich oraz wpływ warunków ustroju społeczno-gospodarczego na ukształtowanie psychiki człowieka, tworzą podstawowe hipotezy robocze systemów teoretycznych m a r k s i z m u. Altruizm, w przeciwstawieniu do egoizmu „homo economicus" leży u podstawy wszelkich systemów k o l e k t y w i z m u i s o l i d a r y z m u społecznego.

Gryziewicz nie jest w swej pracy wyznawcą czystego schematu liberalnego w jego wydaniu indywidualistycznym. „Należy wystrzegać się uproszczenia, polegającego na utożsamianiu wolności ekonomicznej przedsiębiorcy z wolnością ekonomiczną człowieka wogóle. Obok wolności ekonomicznej przedsiębiorcy może istnieć niewola ekonomiczna mas społecznych" (str. 21). Zakłada on z góry związanie polityki gospodarczej, a więc i schematu teoretycznego ekonomii, „skrępowaniami pozagospodarczymi", które wynikają z zasad moralności chrześcijańskiej. Jest on wyznawcą tezy o p r y m a c i e s p r a w d u c h o w y c h n a d m a t e r i a l n y m i, tezy reprezentowanej przez wszystkich przedstawicieli nauki chrześcijańsko-społecznej, której dał on szczególnie mocny wyraz w pracy „Katolicyzm wobec spraw gospodarczych", zamieszczonej w Nr. 2 i 3 „Przeglądu Polskiego" z r. 1949.

Inne założenia i wynikający z nich szkielet konstrukcji ekonomicznej pociągają za sobą odmienne rozwiązania w zaleconych środkach polityki gospodarczej. Musi istnieć zawsze zgodność, czyli t.zw. w międzynarodowym języku ekonomicznym „**konformizm**" środków z systemem polityczno - gospodarczym. (W. Röpke). Gryziewicz odrzuca „formułę zaradzenia złu na drodze wolnej gry sił gospodarczych" (str. 16), konformistycznie związaną z ekonomiczną teorią liberalizmu-indywidualizmu. Jest on zgodny z przyjętym przez siebie teoretycznym schematem ekonomii bazującym na altruiźmie i sprawiedliwości społecznej, gdy żąda w swej pracy stosowania **polityki gospodarczego** interwencjonizmu, cechującego ekonomiczną naukę katolicką. Ta „parafiańska próba wprowadzenia kryteriów moralnych do ekonomii" może się nie podobać zwolennikom schematu liberalnego, w świetle jednak długich doświadczeń i liberalizmu z jednej i komunizmu z drugiej strony, można dyskutować czy jest rzeczywiście tak całkowicie bezzasadna.

Autor niniejszego artykułu w swoich poglądach gospodarczych był związany raczej z liberalizmem gospodarczym niż z kierunkami gospodarki kolektywnej czy planowo-społecznej. Był on jednak zawsze zwolennikiem **interwencjonizmu państwowego**, jako nieuchronnego choćby nawet dla urzeczywistnienia względnej wolności gospodarczej. Każdy zwolennik interwencjonizmu musi kierować się dążeniem do jakiejś **sprawiedliwości społecznej;** to zbliża go również do nauki społeczno-ekonomicznej Kościoła Katolickiego i nakazuje z uwagą śledzić postęp tej nauki jak również tworzące się w jej ramach lub na jej peryferiach ruchy i próby rozwiązań praktycznych. Książkę Stanisława Gryziewicza uważam z tego również punktu widzenia za interesujący przyczynek, tymbardziej, że oparta jest ona na istotnie głębokiej wiedzy ekonomicznej.

Miałbym oczywiście szereg zastrzeżeń co do takich czy innych sformułowań oraz problematyki rozdziałów teoretycznych, ale te usterki uważam za drugorzędne wobec nagół jasnej, spokojnej i pouczającej linii generalnej.

Janusz Rakowski

---

samobójczej śmierci — jeszcze szuka go i wzywa. Obecność Boża jest stale wyczuwana w powieści Greene'a — i to nie Boga surowego, dalekiego, niedosięgłego, lecz bliskiego i cierpiącego razem z człowiekiem.

I oto naraz rozumiemy. Greene, nie mogąc pojąć ni pogodzić się z tragedią świata — kocha nadal Boga i ufa mu — podobnie jak jego Scobie. Pozorny protest pisarza staje się w tej Bożej obecności tylko udręczonym pytaniem człowieka, który nie rozumie i cierpi, lecz wierzy. To najwyżej skarga wniesiona przed Boga na ten żałosny świat. Ma się nawet wrażenie, że pisarz dlatego właśnie iż wierzy, nie obawia się pytać. Jest w tym pokora wielkiego umysłu, który, nie czując się powołanym do rozwiązania dręczącej go zagadki, przedstawia ją Bogu śmiało, uczciwie i bez komentarzy. Myślę — skoro idzie o angielskiego pisarza — że możnaby sprawę Scobiego nazwać najcelniej a case **for God,** sprawą przedstawioną do rozstrzygnięcia Bogu, zagadnieniem, które w pojęciu pisarza, tylko Bóg może rozwiązać. w całej zaś osnowie utworu widzę nagi i szczery pokaz źródeł rozpaczy — bez wniosków lecz nie bez nadziei, że Bóg w swej wszechwiedzy i miłosierdziu przeprowadzi własną rewizję przegranego na ziemi procesu.

Wit Tarnawski

(W nast. numerze zamieścimy II część studium W. Tarnowskiego).

JAN TOKARSKI

DWA AMERYKANIZMY

PRZESZŁO pół wieku temu grono hałaśliwych publicystów katolickich Europy, głównie francuskich, zaczęło napadać na metody apostolskie tak kleru jak i hierarchii amerykańskiej, przede wszystkim zaś na osobę, dzieło i kierunek duchowego życia świątobliwego konwertyty O. P. Heckera. Ojciec Hecker, ongiś metodysta, a po nawróceniu zrazu Redemptorysta, założył potem pierwsze zgromadzenie amerykańskie im. św. Pawła, t.zw. Paulistów. Zgromadzenie to istniejące do dziś (pisaliśmy już o nim w ŻYCIU), rozwija znakomitą akcję wydawniczą i prasową w USA i wydaje również najlepszy miesięcznik katolicki w Stanach „The Catholic World". W lipcowym numerze tego właśnie miesięcznika pojawiły się dwa znakomite studia, z których pragniemy po kolei zapoznać naszych Czytelników. Dzisiaj chodzi nam o artykuł bardzo znanego pisarza, wielokrotnego doktora itd., O. James M. Gilles C.S.P. Jest to właśnie artykuł o tak zwanym „amerykaniźmie" religijnym, z powodu którego tyle wrzawy podnieśli publicyści i pisarze europejscy.

Hałas stał się tak wielki, że Leon XIII, równo 50 lat temu (w r. 1899), czuł się zmuszony wydać encyklikę o amerykaniźmie, w której jednak nikogo ani niczego w Stanach nie dotknął. Poddał jednak krytyce i potępił taki amerykanizm, jaki sobie ci kontynentalni zelanci wymyślili. Jedynie francuska parafraza życiorysu O.Heckera została wycofana na mocy rozporządzenia władz kościelnych, ale amerykański pierwowzór nie został cenzurą objęty.

Te właśnie sprawy, wśród innych szczegółów, przypomina O.Gilles podkreślając, że katolicy amerykańscy nigdy nie spotkali się z zarzutami ze strony Stolicy św. Przeciwnie, zaraz po ogłoszeniu encykliki zostali gorąco pochwaleni.

Otóż — „amerykanizm", wymyślony na kontynencie, nigdy w Ameryce nie istniał w praktyce, a cała awantura, pokutująca do dziś w podręcznikach historii Kościoła, uciszona przez Stolicę Apostolską, spowodowana została p o l i t y c z n y m i kalkulacjami i machinacjami lekkomyślnych katolickich kół rojalistów francuskich epoki.

Jest to sprawa niezmiernie ciekawa, dla szerszego ogółu wprost rewelacyjna, wobec, jak to podkreślamy, stronniczego przedstawiania jej. Ale nie zajmowalibyśmy nią naszych Czytelników, gdyby w omawianym artykule nie ujawniło się zagadnienie szersze, ogólniejsze, zawsze aktualne, dziś może aktualniejsze, niż kiedykolwiek, dla niektórych katolików zwłaszcza. Chodzi o zagadnienie wówczas jeszcze w cieniu, ale będące źródłem całej polemiki, która obróciła się przeciw jej sprawcom.

O co chodziło tym, którzy przed pół wiekiem podnieśli taką wrzawę? — Ni mniej ni więcej, tylko o wymuszenie na Stolicy Apostolskiej oświadczenia, a w katolickiej społeczności USA przekonania, że — katolicyzm a stara Europa zachodnia to jedno i to samo. Że właściwie nie można być katolikiem prawdziwym, nie przyjmując za swe dobro całego balastu tak zwanej „kultury zachodniej" w jej formie uległości pewnym tradycjom polityczno kościelnym w szczególności, a zwłaszcza w pojęciu roli Kościoła i metod apostolstwa szanującego przede wszystkim — istniejące układy społeczno-polityczno-narodowościowe. Otóż na tym polu inicjatorzy kampanii przeciw „amerykanizmowi" n i g d y nie wygrali ani niczego nie uzyskali od Stolicy św. Zacytujmy kilka ustępów artykułu:

„Gdyby pięćdziesiąt lat temu duchowieństwo we Francji było zastosowało niektóre ze sposobów apostolstwa, praktykowanych w Stanach, dziś nie mielibyśmy takich dokumentów jak książka X. Godin „Czy Francja jest krajem pogańskim?" lub listu pasterskiego kardynała Suhard „Zmierzch, czy rozrost Kościoła?". Nie musieliby dziś katolicy kapłani we Francji stawać się górnikami, robotnikami fabrycznymi lub iść pracować na dniówki po to, aby m ó c stykać się z wiernymi".

Doskonale, zdaniem autora, ujął sprawę „amerykanizmu" w swoim czasie katolicki tygodnik angielski „The Catholic Times":

„Istnieją ludzie, dla których każden zwyczaj lub stan rzeczy czy instytucji przeszłości staje się zasadą nietykalną i świętą, której nie wolno bez zarzutu zdrady lub pomówienia o obłęd poddać krytycznej dyskusji lub znakowi zapytania. Czasy mogą się zmieniać, mogą się walić trony, ideały społeczne mogą przybierać nowe kształty, ale siaki taki czciciel bałwanów przeszłości uważa, że to się wszystko nie liczy. Sposób postępowania z czasów, gdy Europa była katolicka, nie może być zmieniony. Wobec republiki, gdzie władza jest w rękach ludu, trzeba się zachować tak, jak niegdyś wobec monarchii, w której lud żadnej władzy nie miał... Otóż, na kontynencie europejskim Kościół jest uwikłany w niewolniczą siatkę rozlicznych więzów. U nas, w Anglii i w Ameryce Kościół jest swobodny".

„Katolicy amerykańscy, patrząc poprzez Antlantyk na „stare kraje", widzą Europę zasadniczo wrogą Kościołowi. I oto porównują oni ciężar tyranii, jaka przygniata Kościół za morzami ze swobodą, jakiej zażywa on pod Gwiaździstym Sztandarem. I dlatego nie życzą sobie w Ameryce przedłużania życia starych politycznych warunków, które były tak bolesnym biczem na Kościół w Europie" — Oto prawdziwy amerykanizm, ten przez Papieża nie dotknięty.

Od tego czasu wiele rzeczy zmieniło się w Europie i w Ameryce. Pozostaje prawda fundamentalna: Sami wierni muszą sobie zdać sprawę, że nie wolno życia katolickiego zaprzęgać do pługa koncepcyj, przesądów, apetytów politycznych — dawniej zwyczajowo - ustrojowych i policyjnych, dziś zwyczajowo - sentymentalnie - nacjonalistycznych i partyjnych. Biada duchownym, którzy dadzą się nabrać na taki łatwy chleb. Staną się „funkcjonariuszami" publicznymi takiego czy innego reżimu, ale nie głosicielami słowa Bożego. Bo reżimy istnieją nie tylko za żelazną kurtyną i nie tylko tam są apetyty i praktyki „reżimowe": by usidlać Kościół i jego moc duchową. Ta tylko zdrowa różnica — na korzyść „zakurtynia", że tam i wierni i kler widzą jasno rzecz. Gdzieindziej zaś można mieć bielmo na oczach. Przyzwyczajenie gestu i retoryki.

W pewnym miejscu autor mówi o X. Keane, byłym rektorze katolickiego uniwersytetu w Washingtonie. Przeciwko X. Keane kierowało się gros ataków, żeby nie powiedzieć: nienawiści ze strony zwalczających mniemany „amerykanizm"; (jak wiadomo, X. Keane po kilkuletnim pobycie w Rzymie został — mianowany biskupem diecezjalnym...). On to na międzynarodowym kongresie w Brukseli (rok 1894) powiedział: „Kochać Boga niekoniecznie oznacza nienawidzieć tych, który Go kochają w inny sposób". Powiedział też: „Przywiązanie i posłuszeństwo naszej św. Wierze należnie nie zawiera w sobie nienawiści do tych, którzy jej nie mają".

Ta wielka prawda, zgodna z powiedzeniem św. Augustyna, aby nienawidzieć błąd, ale nie błądzącego, świa-

X. MARCIN WOJCIECHOWSKI DYSKUSJE

CZY MOŻNA CZEKAĆ NA CONFITEOR KATOLIKÓW NIEMIECKICH?

WE „Lwowie i Wilnie" (nr.136) p. Stanisław Mackiewicz zamieścił „List otwarty do katolików niemieckich". Żąda w nim, aby Niemcy, którzy zadeklarowali się w osobie kanclerza Adenauera, iż są katolikami a nie hitlerowcami, złożyli dowody tego w stosunku do Polski. Katolicy niemieccy, którzy rządzą dzisiaj państwem, powinni zrozumieć, że na nich ciąży odpowiedzialność za krzywdy wyrządzone Polakom i jako katolicy powinni starać się je wynagrodzić.

P. Mackiewicz tym dotknął niezagojonej jeszcze rany i wskutek tego ten problem, mimo bardzo spokojnej formy, ma swój patos tragiczny. I niezależnie od następstw, jakie ten list wywoła, samo poruszenie sprawy na łamach pisma, ma swoją przeogromną wagę.

Samo poruszenie tej sprawy dla nas nie jest nowe. Znalazło ono już swój wyraz na łamach katolickiego „Tygodnika Powszechnego", w którym znany działacz społeczny i publicysta X. Piwowarczyk postawił sprawę jasno: czy będzie confiteor niemieckie. Pisząc o tym do katolików niemieckich, autor artykułu postawił zarzut ich obciążający, iż pierwszy zjazd młodzieży katolickiej, zamiast szukać dróg do odrodzenia wewnętrznego, rozpoczął swoje obrady od protestu, skierowanego przeciwko Polsce.

Aby żądać od katolików niemieckich zadośćuczynienia za krzywdy, które poniósł naród polski, trzeba było wyjść z założeń teoretycznych i wykazać, że one są sprzeczne z prawami Bożymi naturalnymi i pozytywnymi i udowodnić, że katolicy niemieccy brali bezpośredni czy pośredni w nich udział.

Do dalszych założeń teoretycznych i ideologicznych należy bez wątpienia filozofia Hegla, który stworzył teorię wyższości rasy niemieckiej a Schelling dał jej podkład mistyczny. Całokształt życia niemieckiego w 19 i 20 wieku urabiał się pod wpływem tych teorii, które nie tylko u siebie wytworzyły kierunek mesjanistyczny narodu niemieckiego, ale też wpłynęły bezpośrednio czy pośrednio na wytworzenie się podobnych kierunków w innych krajach i u innych narodów. (np. w Rosji).

Teorie rasistowskie naszych czasów były li tylko logicznym wyciągnięciem wniosków z pierwotnych założeń.

Niemcy w swojej rasistowskiej teorii wyszli z założenia ratowania cywilizacji, która, w ich mniemaniu, może zniknąć wskutek rozkładu ras niewartościowych. Założenia zootechniczne z życia zwierząt przenieśli na sprawy ludzkie i doszli do ludobójstwa, uprawianego na skalę nieznaną dotąd w dziejach ludzkości, aby uchronić rasę germańską, która, w ich pojęciu, przeznaczona została do roli kulturträgerów, przed niebezpieczeństwem pomieszania się z rasami niższymi.

Jak to pogodzić z prawem natury, które bez wątpienia było znane Niemcom? Masy niemieckie w prawie naturalnym upatrywały treść biologiczną a nie etyczną, stąd też nie tylko nie widziały sprzeczności z prawem natury, ale w imię tegoż prawa naturalnego domagały się Lebensraumu dla Niemców z pogwałceniem praw naturalnych u swych sąsiadów.

Hitler stał się wyrazem wszystkich dążeń niemieckich. On stał się, jakby emanacją duszy niemieckiej. W nim Niemcy dopatrzyli się człowieka opatrznościowego. Wiemy, że on sam w to uwierzył. A czynniki irracjonalne, którymi się kierował, przysłoniły Niemcom myślenie rozumowe. W tym świetle rozumiemy, dlaczego cała nauka niemiecka sprzęgła się w jeden rydwan na usługi machiny ludobójczej i to nie tylko w chwili wystąpienia Hitlera, ale daleko przedtem, przygotowując grunt do jego wystąpień. Nikt nie będzie zdolny usprawiedliwić tego, żeby medycyna, której zadaniem jest ratowanie zdrowia i życia ludzkiego, stała się narzędziem milionowych mordów.

Dlatego też twierdzenie dzisiejszych socjologów niemieckich w osobie Wiesego, że ujarzmienie człowieka, „Versklawung des Menschen", przyszło do Niemiec z zewnątrz jako plaga i jako tajemnica metafizyczna, jest sprzeczne z rzeczywistością.

Zasadnicza waga tego niesamowitego wniosku p. Wiesego leży w tym, że Niemcy tak dalece są pogrążeni w psychozie skrajnego rasizmu, iż zamknęli sobie drogę do odrodzenia moralnego duszy niemieckiej.

W tym błędzie też leży nowy tragizm Niemiec a z nimi całej Europy. Nie można Hitlera oddzielać od Niemców, a Niemców, jako narodu, od odpowiedzialności za zbrodnie dokonane nad całą ludzkością w takich rozmiarach, jakie przekraczają granice najśmielszej wyobraźni.

Ludzkość, krocząc torami dziejów, pozostawiała po sobie pomniki, ale nie spotykamy się nigdzie z pomnikami zbrodni na tak wielką skalę, jak po Niemcach. Dachau, Gusen, Stutthoff, Oświęcim, Lublin z Majdankiem, Treblinka, Warszawa, Mauthausen, Buchenwald, Bergen-Belsen, Brzezinka, Neuengamme i inne obozy koncentracyjne stały się makabrycznymi fabrykami śmierci. W swoim technicznym postępie Niemcy doszli do tego, że w Brzezince wybudowali komory gazowe i krematoria o łącznej przepustowości dziennej 40 tysięcy ludzi dla komór i 12 tysięcy dla krematoriów. Jeżeli dodamy podobne krematoria i komory gazowe w innych obozach, to otrzymujemy obraz koszmaru. Skromne obliczenia ofiar, które przeszły przez piece i komory gazowe obliczają na 15 milionów ludzi różnych ras, języków, narodowości, religij i wyznań. Ponadto dodajmy machinę wojenną, która Niemcy udoskonalili i przeorali Polskę i wiele krajów sąsiednich, niosąc za sobą pełne zniszczenie.

Jest to praktyka godna teorii, wypracowanej w kilku mózgach, która naród niemiecki podniesiony do übermenschów, przyjął z entuzjazmem.

Czy jednak za te zbrodnie można obwiniać katolików niemieckich? Niestety, tak. Występek popełnia się nie tylko przez czyn, ale i przez opuszczenie. Odpowiedzialność za zbrodnie ponoszą nie tylko sami sprawcy zbrodni, ale również ci, którzy wytworzyli atmosferę zbrodni oraz ci, którzy, zdając sobie sprawę z niej, nie przeciwdziałali. Ustawodawstwo karne tak podchodzi do tego zagadnienia. I tak go pojmuje teologia moralna i nauka Kościoła katolickiego.

Nie możemy obiążać katolików, aby byli twórcami übermenschowskich poglądów niemieckich, ale nie są wolni od odpowiedzialności, jako Niemcy, którzy nie przeciwdziałali, aby je zneutralizować. Katolików w Rzeszy niemieckiej było przeszło 20 milionów bez Austrii, a taka liczba w każdej zbiorowości ma swoją wagę, jeżeli się uwzględni jeszcze ich myślowy ciężar gatunkowy.

Zjawienie się Hitlera na widowni niemieckiej, poza jednostkami szlachetnymi i ofiarnymi, nie wywołało większej reakcji w niemieckich kołach katolickich.

Nie słyszeliśmy o żadnych enuncjacjach i protestach, gdy w Dachau ginęli biskupi i kapłani polscy. Polska straciło około 2 tysięcy księży, jest to tak wielka ilość, jakiej nie znają dzieje aktów męczeńskich. Były jeszcze inne zbrodnie, które wołają o pomstę do nieba, jak porywanie dzieci i wychowywanie ich na janczarów niemieckich (wiele z nich nigdy nie dowie się swego pochodzenia), odmawianie skazańcom posług religijnych, czego nie znało żadne inne prawodawstwo, zabranianie Polakom brać udziału we Mszy św. razem z Niemcami, przez to łamało się ich sumienia.

Jaka reakcja była na to ze strony katolickiej hierarchii niemieckiej? Jak to pogodzić z duchem encykliki o Kościele jako Mistycznym Ciele Chrystusa?

Ojciec św. doskonale ocenił to położenie, kiedy zaraz po wojnie, jak tylko otworzyła się możliwość dotarcia na tereny niemieckie naszej hierarchii, poddał wszystkich Polaków pod jurysdykcję Biskupa Polskiego. I tu jest jeszcze jeden dowód przeciwko insynuacjom tych panów, którzy obciążyli Papieża winą za jego rzekome niezrozumienie sprawy polskiej.

I tu leży podstawa, dla której mamy prawo oczekiwać od katolików niemieckich Confiteor ich winy wraz ze wszystkimi odważnymi i uczciwymi następstwami.

Nawrót do rewindykacji i nieliczenia się ze zmienną rzeczywistością, jest nawrotem do starych błędów przeszłości, sprzecznych z podstawowymi zasadami prawa naturalnego.

Każdy naród ma prawo do istnienia, do kultywowania swych cech narodowych. Jest to zgodne z duchem powszechności Kościoła. Z chwilą jednak, kiedy naród w swym nacjonaliźmie dochodzi do takiego stanu, iż przekreśla prawo do istnienia społeczności innej, dlatego, że mówi innym językiem, że ma inną kulturę czy religię, wchodzi na drogę zbrodni i przekreśla swoją rację bytu. O tym katolicy niemieccy też powinni wiedzieć.

X. Marcin Wojciechowski

-dczy o wielkim wżyciu się w istotę katolicyzmu. A człowiek obeznany z prawdą porusza się wśród idei, jak pogromca wśród lwów, powiedział Chesterton. Nienawiść bowiem najczęściej płynie z niepewności i ze strachu o siebie samego. A nie odnosi się to tylko do błędnowierców, lecz i do ludzi w wierze nam bliskich, którzy zgoła inaczej praktykują i pojmują rzeczy. Ta wielka prawda stawia także zasadę nie niszczenia nikogo presją „moralną" (—jakże mało moralną zazwyczaj w środkach i sposobach!) w imię jakiegoś społecznego zestandaryzowania, w imię niewolniczej podległości tak zwanej „opinii", czy „środowisku".

Przez całe wieki Kościoła wierni katolicy opierali się ze skutkiem tak często narzucanej sobie „conformity". Narzucanej tak przez wrogów, jak i przez niby swoich, lecz nie w imię Prawdy. („Qui potest capere capiat", a są to zdania, które dobrze zrozumiane mogą wywołać furię u tych i owych). — A teraz najważniejszy cytat:

„Jedyny rodzaj amerykanizmu, który istnieje w rzeczywistości lub kiedykolwiek przedtem istniał (przynajmniej w Stanach), nie dotyczy ani spraw wiary ani dyscypliny kościelnej. Dotyczy jedynie sposobu bycia, myślenia, zwyczajowości, temperamentu psychicznego lub rysów, właściwych różnicom rasowym. Kościół bowiem nie jest ani wyłącznie łaciński, ani francuski czy gallijski, ani germański czy nordycki lub też celtycki. Kościół jest katolicki, powszechny.

„Hilary Belloc (pisarz skądinąd znakomity) napisał kiedyś: „Europa jest wiarą, a wiara jest Europą". Otóż tak jak Belloc (nawiasem mówiąc chwalca „Świętego Cesarstwa") tłumaczy swój aforyzm, może się on ostać, ale w samym brzmieniu i zestawieniu tych słów może uchodzić za wręcz doskonałe zaprzeczenie katolickości Kościoła. Nie byłoby rzeczą ani roztropną ani zgodną z prawdą tłumaczyć naprzykład Azjatom, że Europa to wiara. Gdyby jakiś misjonarz ośmielił się przepowiadać przyszłym nawróconym na katolicyzm w Chinach, Japonii, Indiach lub w Afryce, że muszą oni zostać wpierw Europejczykami (a potem katolikami), stałby się on winien błędu, który został potępiony przez Apostołów na pierwszym soborze roku 50-go. Podobnie też mówić Amerykaninowi, Anglosasowi, Germaninowi czy Słowianinowi lub Skandynawowi, że aby się naprawdę nawrócić, musi on przyjąć wiarę z zabarwieniem francuskim, włoskim lub hiszpańskim: oznaczałoby to zlokalizowanie w ciasnych ramach jednej rasy i znacjonalizowanie katolicyzmu". — Może te słowa przemówią do niektórych wyznawców swoiście pojmowanej „katolickiej tradycji".

I to są najważniejsze myśli z tego artykułu. Nie chodzi nam bowiem o „amerykanizm" ani amerykanizm bez cudzysłowu; wiemy bowiem, że w Stanach powstają dziś pewne schorzenia. Chodzi o coś bardziej zasadniczego, czego nie przestajemy w ŻYCIU podkreślać i wybijać: Że katolicyzm nie jest konserwatyzmem, gdyż uznaje on, że wszystko co ludzkie, jest poddane prawom czasu i zmiany. Nie jest on związany z żadną formą ustroju, z żadnym narodem, z żadnym kontynentem, z żadną kulturą i cywilizacją, nawet z kulturą chrześcijańską, a nawet z tak zwanym światem katolickim, bo katolicy nie są katolicyzmem.

Powiada Maritain w „Religii i Kulturze":

„Kościół, ciało Mistyczne Chrystusa, społeczność nadprzyrodzona ma więź, nadprzyrodzonym ducha społecznego, którym jest Duch Święty. Przez zjawisko naturalne, zbyt naturalne, może się zdarzyć, że nawrót ducha społecznego przyrodzonego..., nawrót socjologizmu spontanicznego będzie pasorzytował na naszej świadomości tak, że będziemy myśleć siebie w społeczności katolickiej, jak w społeczności przyrodzonej lub doczesnej, do tego stopnia, że będziemy identyfikować z „naszą sprawą" i z naszymi interesami grupy ludzkiej o nazwie katolickiej — interesy samego katolicyzmu, sprawę Ojca niebieskiego. W tym samym stopniu pozwalamy praktycznie, aby religia nasza schodziła do naturalizmu; bo Duch św. nie jest duchem klanu lub partii. I ryzykujemy jednocześnie, że zamykamy duszom bramę Królestwa Bożego i że z racji naszej pychy i naszych nędz, podajemy Imię Boga prawdziwego na bluźnierstwo między narodami. Widać natychmiast, jak ten błąd, który polega w ostateczności na traktowaniu katolicyzmu tak, jakby był on sam społecześtwem ziemskim lub cywilizacją ziemską, a więc zadanie dla niego i dla prawdy Bożej triumfów tego samego rodzaju, co dla społeczeństwa lub cywilizacji ziemskiej, widać natychmiast jak błąd ten, który jest rodzajem imperializmu in spiritualibus, w rzeczach duchowych, pokrewny jest błędowi... który polega na wcielaniu katolicyzmu do cywilizacji ziemskiej, a który jest rodzajem nacjonalizmu in spiritualibus. Te dwa błędy mają to samo źródło; skłonny jestem myśleć, że zaciążyły one ciężarem bardzo wielkim na historii ludów chrześcijańskich i że stało się sprawą bardzo pilną wykazać je oba. Jest to w Nowym Zakonie zaślepienie podobne zaślepieniu Żydów cielesnych w Starym Zakonie. Takie zaślepienia kosztują drogo".

W ŻYCIU (nr. 27/106) w artykule „Za mało — o całą nieskończoność" zwracaliśmy uwagę na rozpowszechnione wśród Polaków, nawet wśród t.zw. „ludzi dobrej woli" pomieszanie katolicyzmu do roli „siły cywilizacyjnej": „Ten czysto naturalistyczny stosunek do religii i Kościoła nawet gdy uznaje chrześcijaństwo, zgadza się widzieć w religii siłę społeczną, kulturalną, „duchową", której zasady, oczywiście w dowolnym wyborze i w ocenzurowanych wypisach mogą oddać dobre usługi narodowi i państwu". Ta pokusa nacjonalizowania religii i jej „zimperializowania" jest starsza od samego chrześcijaństwa. Sięga bowiem praktyk i nastawień świata pogańskiego. W starożytnym Rzymie, za cesarstwa, religia została już pozbawiona charakteru sakralnego i zaprzęgnięta do służby państwu. Chęć jednostronnego wykorzystania mocy duchowej i nadprzyrodzonej religii do celów czysto ziemskich jest swoistym hołdem laicyzmu, jej składanym. Wdzimy to nawet w bolszewiźmie, który na wielu polach jest zorganizowany na zasadach, skopiowanych z religii i stosowanych ze złowrogą, sekciarską, jednostronnością aż do używania klątwy włącznie. W społeczeństwach chrześcijańskich zaś ta chęć objawia się w postaci ciasno rozumianych sloganów identyfikujących naród czy państwo z katolicyzmem, sloganów, które religię utożsamiają z interesem kraju a z Boga czynią pierwszego obywatela państwa, pod warunkiem, że zawsze zechce wypełniać narzucone sobie polecenia i prośby.

Jan Tokarski

WACŁAW GRUBIŃSKI

KILKA SŁÓW O »LENINIE«

SZTUKĘ o Leninie napisałem w 1920. Była wystawiona w Warszawie w teatrze Polskim jeszcze za życia Lenina, zaraz po zwycięstwie polskim nad bolszewikami.

Tutaj, w Londynie, grano ją znacznie później w przekładzie Floriana Sobieniowskiego i znakomitego biografa Oskara Wilde'a i Bernarda Shaw, Hesketha Pearson'a.

Pierwszą obsadę „Lenina" stanowili: Brydziński (w roli tytułowej), Różycki (w roli cara Mikołaja II), Fritsche grał Łunaczarskiego, Zelwerowicz Sadoul'a, Zygmunt Nowakowski—Gorkiego, (był to warszawski debiut aktorski późniejszego autora „Gałązki Rozmarynu"), Hałacińska grała rolę Karandowej (następnie objęła tę rolę Umińska, której kariera sceniczna, wyborne rozpoczęta między innymi rolą Consueli w „Tym, którego biją po twarzy" Andrejewa, przerwał dramatycznie wystrzał z rewolweru).. Rzecz przetłumaczono na kilka języków i nawet na żargon żydowski. Wychodzący w Warszawie „biały" dziennik rosyjski pod redakcją Fiłosofowa, drukował „Lenina" w swoim odcinku literackim.

Zabawna przygoda spotkała „Lenina" w Torino, gdzie szykowano jego włoską premierę. Pewnego rana otrzymałem dziennik „La Stampa" z artykułami o mnie i o moich sztukach, popołudniu zaś dostałem list od tłumaczki, panny Aurory Beniamino, która mi pisała, że w czasie próby generalnej śród mokrych jeszcze dekoracji, (podobno znakomitych), przyszła z Rzymu depesza od Mussoliniego z zakazem wystawienia „Lenina". Energiczny Duce, wlewający komunistom włoskim olej rycynowy w gardło, uległ nagle naciskowi ambasady sowieckiej. Twórca faszyzmu ni stąd ni zowąd, postanowił się nie narażać bolszewikom na odcinku teatralnym! Polityka niewa takie nielogiczności i meskinerie taktyczne. Naprzykład, znacznie później, w Moskwie ogłaszano Mussoliniego, jako wroga Nr. 1 dokładnie w tej samej chwili, gdy na Kremlu towarzysz Mołotow spełniał puchar przyjaźni z panem von Ribbentropem! Historia się roi od tego typu paradoksów, wielkich i małych i przez te właśnie paradoksy najbardziej może zasługuje na godność „mistrzyni życia". Les affaires sont les affaires! Choć zapewne trzeba uważać za efektowną przesadę wyznanie Seignobos'a, iż nie znał w dziejach świata ani jednego czynu bezinteresownego.

Gdy odbywano próby „Lenina", jeden z najwpływowszych ówczesnych krytyków teatralnych, Władysław Rabski z „Kuriera Warszawskiego", ostrzegał dyr. Szyfmana, że będzie się musiał ostro obejść ze sztuką, o której słyszał, że jest pro-socjalistyczna. Na to Szyfman odpowiedział, że szef cenzury warszawskiej, Antoni Sygietyński, dawniejszy krytyk „Kuriera Warszawskiego", właśnie podpisał zezwolenie na granie „Lenina", przyczem wyraził się o sztuce więcej, niż z uznaniem. Później Kazimierz Błeszyński opowiadał, że na jednym z cotygodniowych five-o clock'ów u Sygietyńskiego, (bywali tam przede wszystkim cenzorzy), Sygietyński dużo mówił o „Leninie" i tak zakonkludował, gładząc swą rudawą brodę:

— Ale żeby Grubiński wiedział, że istnieje w Polsce cenzura, wykreśliłem mu jedno „się".

— Jak to „się" ? — spytał Lemański.

— Lenin mówi w sztuce do Mikołaja II-go: „Pytasz się..." To „się" jest błędne, czyli niecenzuralne — odparł Sygietyński.

Wyznaję, że to „się" utrzymałem. Zrobiłem to z dwóch powodów: po pierwsze ta błędna forma zakorzeniła się w mowie potocznej, a po drugie, bez tego „się" zdanie brzmi „książkowo" i nabiera odcienia literacko-patetycznego, czego pragnąłem uniknąć. Wchodzi tu również w grę kwestia rytmu, odpowiedniej ilości sylab w zdaniu.

Jak się ustosunkowały do „Lenina" oficjalne czynniki w Rosji, opowiadam w tomie, zatytułowanym „Między młotem a sierpem". Enkawudzista Priwin nazwał „Lenina" książką plugawą. („Eto gnusnaja kniga!" — zawołał podczas badania). Interesujące, że „biała emigracja" rosyjska w Paryżu również się na ten utwór obruszyła. Oczywiście, z innych przyczyn, niż bolszewicy. Uznano za bluźnierstwo pokazanie Mikołaja II jako urzędnika w gabinecie Lenina. Biała emigracja nie dostrzegła, że w mojej koncepcji dramatopisarskiej, socjalizujący Mikołaj II jest ciosem, zadanym Leninowi. Sądzę, że bardziej pochlebiłem Mikołajowi II, pokazując go, jako adepta demokracji, niż Molier pochlebił Ludwikowi XIV, pokazując go jako Jowisza, który zastępuje swoich wiernych poddanych w alkierzach małżeńskich! Obawiam się jednak, (obawiam się retorycznie), że po obaleniu rządów rzekomo komunistycznych obecnego Kremla, cenzura carska, gdyby wróciła na tron członkowie rodu Romanowych, obłożyłaby „Lenina" „opałą", zamiast go uroczyście wprowadzić do żelaznego repertuaru „Imperatorskich teatrów" Moskwy i Sankt-Pieterburga. Albowiem nie ma tępoty trwalszej, niż kastowa.

Nie utrzymuję, rzecz prosta, że napisałem sztukę dobrą. Jakżebym się mógł odważyć na coś podobnego! Nawet Wenerze z Milo miano by za nietakt, gdyby się ośmieliła powiedzieć o sobie, że jest piękna! Kodeks bycia towarzyskiego pozwala nam mówić bez zmrużenia powiek tylko o naszych niedoskonałościach. Wypada np. powiedzieć: „Mam prawą nogę krótszą", „Mam piegi", „Mam zeza"; ale byłoby w złym tonie rzec: „Jestem zbudowany jak Hermes Praksytelesa", mimo, że by to było prawdą! Do pewnego stopnia się dopuszcza, jeżeli cytujemy — skromnie i sceptycznie — pochlebne o nas opinie osób trzecich. Mógłbym więc chwycić się tego fortelu. Wolę jednak przy niniejszej sposobności powiedzieć raczej, co uważam za wadę, za piegi i zeza mojej sztuki.

Otóż, proszę państwa, ta komedia o bolszewiźmie ma tę wadę, że jest tragedią bez uśmiechu. Mówiąc patetycznie, brak jej wniebowstąpienia ofiary, jak w Sofoklesowskim „Edypie", brak w niej pioruna sprawiedliwości Bożej, jak w Słowackiego „Balladynie", brak jej, jak w „Klątwie" Wyspiańskiego, zapładniającej ulewy, przez którą „Bóg mówi słowo".

„Lenin" przedstwia pochód i zwycięstwo „griaduszczawo chama". Odślania filozoficzne uzasadnienie wiary życiowej chama. A wiarą „chama przyszłości" jest coś czarniejszego, niż „materialistyczne pojmowanie dziejów": jest to pojmowanie dziejów „mechanistyczne".

Materialistyczne ujmowanie świata przez wczesnych filozofów greckich pozostawiało materii jej tajemnicę, tajemniczość, powiedzmy jej boskość. Zasadniczy element wszystkości pierwszego filozofa starożytnej Grecji, woda Talesa, posiadała zagadkową właściwość przeistaczania się w lód i we mgłę, dziwną zdolność przerabiania twardziny ugorowej w żyzną glebę i jeszcze dziwniejszą władzę obdarzania życiem, bezwładnie leżących w stanie martwoty „nasion" insektów.

Materialista Anaksimander przesunął tę tajemnicę materii, jej genezę, po za element wody, w niepojętą głąb, i ów praelement, dostrzeżony przez siebie, nazwał nieskończonością.

A nieskończoność znaczy nieśmiertelność, a w nieśmiertelności znaczy, że śmierć jednego organizmu nie znaczy śmierci wogóle.

Lenin jest materialistą bez poczucia nieskończoności. Ten brak poczucia nieskończoności różni go zasadniczo od materialistów najdawniejszego okresu filozofii greckiej, szóstego i piątego wieku przed Chrystusem. Dlatego, gdy atomista Demokryt w piątym stuleciu przed Chrystusem mówił, że „zadawać zło jest większym nieszczęściem, niż cierpieć zło zadawane", towarzysz Ulianow-Lenin w dwudziestym wieku naszej ery uczył: „Rabuj, co narabowane!"

Świat dzisiejszych komunistów jest światem skończoności, nie ma w nim tajemnicy. Nie ma w nim miejsca na twórczość. Dla „marksistów-leninistów" świat jest nie organizmem nawet, jest po prostu mechanizmem, życie jest dla nich kwestią pewnych ilościowości, irracjonalność niedoliczoną racjonalnością. Ich bogiem jest racjonalizm, boginią dialektyka. Nie ma czarniejszej wiedzy, niż komunizm, nie ma czarniejszej wiary, niż leninizm. Ta czarność daje koncert w moim „Leninie".

Po premierze „Lenina", w gronie przyjaciół w następujących słowach wyraził swoje wrażenia kochany Karol Szuster, znakomity pianista a uroczy gaduła (choć się zacinający cokolwieczek na spółgłoskach):

— Grają, drogi Waciu, nniewypowiedzianie! Najgorszy jest Zelwerowicz, mmimo, że zachwycający, mmusisz przyznać! A Bbrydziński, Różycki! Hałacińska nie ma gglosu. Mniejsza o gglos, ale i słuchu nie ma. Pprzedstawienie w sensie reżyserskim takie, że się nie sposób odderwać... niby wzzroku od ggrzechotnika, który idzie prosto do ciebie zygzakiem! Najciekawsze przecież — nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał — najciekawsze jest to, co się dzieje po zapadnięciu kurtyny. Wyobraź sobie, że nie można wstać z miejsca. Po przedstawieniu. Nie wiem, czy mnie ddobrze rozumiesz? Jest się pod ciężarem takiego wrażenia, że się nie można dźwignąć z krzesła. Koniec, dali światło, a wstać ani rusz! I ciemno mimo, że zaświecili żyrandol. Ciemno, choć oko wykol!

Masz słuszność kochany Karolku. Ale się koniec końców wstaje i wyszedłszy z teatru, doznaje się ulgi. Bierze się głęboki oddech, spojrzało się w niebo, (może jest właśnie pogoda i gwiazdy!) i uczuwa się w tej chwili nieomylnie, że „Bóg mówi słowo".

Uśmiech jest poza „Leninem", to prawda i mea culpa! Tylko, że szanowny czytelniku, mój „Lenin" składa się i z tej ulgi po wyjściu z teatru. Tak właśnie było z tragediami greckimi.

Wacław Grubiński

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

OGÓLNO-KRAJOWA WYSTAWA KSIĄŻEK

Dnia 31 października w Grosvenor House przy Park Lane sir Duff Cooper otworzy ogólno-krajową wystawę książek (National Book Exhibition), zorganizowaną przez wydawnictwo „Sunday Times" łącznie ze Stowarzyszeniem Wydawców. Wystawy takie odbywały się już przed wojną i miały duże powodzenie.

Wystawa obecna trwać będzie do 14 listopada. W czasie jej trwania odbędzie się szereg fachowych odczytów, których zorganizowaniem zajmuje się National Book League.

WYSTAWA RADIOWA

Wystawa radiowa w Londynie, t.zw. „Radiolympia", o której donosiliśmy w poprzednim numerze, wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród publiczności. Zainteresowanie to koncentruje się oczywiście na odbiornikach telewizyjnych, których **różne typy** pokazywane są na wystawie. Najtańszy z odbiorników kosztuje 35 gwinei, łącznie już z „purchase tax"; kilka innych kosztuje mniej niż 50 funtów. Ogólnie jednak są one droższe od zwykłych odbiorników radiowych. W dodatku tylko droższe spomiędzy odbiorników telewizyjnych zdolne są do odbierania także zwyczajnych programów radiowych.

Prasa wyraża pogląd, że masowego popytu na odbiorniki telewizyjne oczekiwać można dopiero z chwilą, gdy obszar, dostępny dla telewizji, powiększy się znacznie. Jak do tej pory tylko niezbyt duża część W. Brytanii może korzystać z telewizji. Londyn ma stację telewizyjną od r. 1936; zapowiedziane otwarcie drugiej stacji, koło Birminghamu, uległo odwłoce. Na otwarciu wystawy minister Morrison zapowiedział, że stacja ta uruchomiona będzie jeszcze przed Bożym Narodzeniem r.b. W r. 1951 — stwierdził minister — powstanie stacja dla północnej części kraju, a do r. 1954 siedem innych stacji. Z tą chwilą telewizja stanie się dostępna dla 80 proc. ludności kraju.

GOSPODY DLA PODRÓŻUJĄCEJ MŁODZIEŻY

Brytyjskie czynniki oficjalne popierają inicjatywę UNESCO, idącą w kierunku tworzenia w różnych krajach gospód, dających podróżującej młodzieży dach nad głową i pożywienie (Youth Hostels). Już w r.b. z gospód tych korzystało ponad 400.000 młodych turystów.

NOWA WIZJA PRZYSZŁOŚCI

Powieści, osnute na tle przyszłego wyimaginowanego ustroju świata, mnożą się. Po ponurej wizji Orwella pojawiła się obecnie powieść Roberta Graves „Seven Days in Crete" (Cassell, cena 9 s. 6 d.) — również wizja przyszłej cywilizacji, lecz odmienna. Pierwsze głosy krytyków o książce Graves'a są przychylne.

OPERA KAMERALNA W W. BRYTANII

Na łamach „European Affairs" i „Continental Daily Mail" lord Harewood ogłosił interesujący artykuł o „angielskiej grupie operowej" (English Opera Group), zespole, który powstał w r. 1947, a którego kierownikiem jest znany kompozytor Benjamin Britten. Celem tego zespołu jest wystawianie oper „kameralnych", t.j. takich, które nie wymagałaby ani dużych scen, ani też dużych zespołów i orkiestr. Lord Harewood podkreśla, że dla W. Brytanii jest to konieczność praktyczna, miasta prowincjonalne bowiem z reguły nie posiadają scen, pozwalających na wystawianie oper w stylu kontynentalnym. Poza tym wyposażenie opery tego typu pociąga za sobą zbyt wielkie koszty.

„English Opera Group" rozpoczęła swą działalność w r. 1947 przy pomocy tego samego zespołu, który w roku 1946 wystawił w Glyndebourne operę Brittena „The Rape of Lucretia". Wystawiona została nowa opera Brittena „Albert Herring"; w dwu latach następnych poszły dwie dalsze opery tego samego kompozytora — w r. 1948 nowa wersja „The Beggar's Opera", a w r. 1949 „Let's Make an Opera". W związku z tym autor artykułu przypomina, że kiedy Gluck przystąpił do reformy opery, pierwsze cztery utwory, wystawione przez niego, były jego własnej kompozycji.

„English Opera Group" pragnie jednak także zachęcać młodych kompozytorów do tworzenia oper typu kameralnego, a nadto wystawiać niektóre rzeczy dawniejsze. Zespół daje również koncerty i słuchowiska radiowe. Wyjeżdżał on za granicę, dając przedstawienia w Szwajcarii, Holandii, Belgii i krajach skandynawskich.

Podstawą zespołu jest 12 aktorów-śpiewaków, doskonale ze sobą zestrojonych; nacisk położony jest na „ensemble", a nie na indywidualne popisy „gwiazd", z których każda produkuje się na własną rękę, bez dyscypliny zespołowej.

SUKCES FILMU O HAMLECIE

Wersja filmowa szekspirowskiego „Hamleta", produkcji Laurence Oliviera, osiągnęła w Nowym Jorku rekord powodzenia wśród filmów mówionych w języku angielskim. Grana ona była przez 52 tygodnie w Park Avenue Cinema; rozpoczął się obecnie drugi rok jej wyświetlania.

Tak długim okresem przedstawień pochlubić się mogły tylko niektóre z dawniejszych filmów niemych oraz film włoski Rosseliniego „Vivere in Pace".

RZEMIOSŁO PISARSKIE SOMERSET MAUGHAM'A

Somerset Maugham nie jest niewątpliwie pisarzem wielkiej miary, ale rzemiosło pisarskie opanował — dobrze i potrafi utrzymać się na powierzchni zmieniających się gustów i upodobań. Jak do tego doszedł, wyjaśnia w swym świeżo wydanym „notatniku". („A Writer's Notebook", Heinemann, cena 12 s. 6 d). Najciekawszą część książki stanowią zapiski Maugham'a z czasów jego młodości.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ŚMIERĆ ARCYBISKUPA AMIGO

Zmarł w Londynie jeden z najwybitniejszych, najbardziej zasłużonych i najbardziej pełnych charakteru przedstawicieli episkopatu katolickiego angielskiego, J. E. ks. arcybiskup Amigo, biskup-ordynariusz diecezji Southwark. Zmarły miał lat 85, mimo jednak sędziwego wieku był aż do końca pełen energii i pracował jeszcze na 48 godzin przed śmiercią. Arcybiskup Amigo, (którego nazwisko wskazuje na pochodzenie hiszpańskie) urodził się w Gibraltarze z miejscowej gibraltarskiej rodziny, a więc pochodzi ze społeczności, która stanowi punkt styczny między Anglią i Hiszpanią.

OJCIEC ŚWIĘTY POTĘPIA SZTUCZNE ZAPŁODNIENIE

W czasie audiencji, udzielonej katolickim lekarzom z 30 krajów, Ojciec św. wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że sztuczne zapłodnienie nawet w obrębie małżeństwa jest rzeczą niemoralną. Rzeczą dozwoloną jest tylko zastosowanie wiedzy, oraz techniki naukowej dla dopomożenia naturze, to jest dla ułatwienia aktu naturalnego, lub dla spowodowania, by akt naturalny, dokonany normalnie, osiągnął swój cel.

MAŁŻEŃSTWA KATOLIKÓW Z KOMUNISTAMI

Francuskie pismo „La Semaine religieuse" ogłasza przepisy otrzymane z Watykanu przez ks. bp. Beaussart, wikariusza kapitulnego diecezji paryskiej, w sprawie małżeństw katolików z komunistami. Wedle tych przepisów, osoba wyznania katolickiego, chcąca poślubić komunistę, lub komunistkę, który lub która wyznaje, broni i otwarcie głosi doktryny materialistyczne i antychrześcijańskie, nie może tego uczynić inaczej, jak tylko w wypadku, gdy obie strony zobowiążą się założyć rodzinę chrześcijańską. Jednakże nawet i w tym wypadku dyspensy będą udzielane jedynie w wypadkach wyjątkowych, a ślub nie będzie mógł być udzielany w murach kościoła lecz tylko poza jego obrębem.

Natomiast w wypadku „zwykłych zwolenników" partii, ślub może być udzielany, o ile ksiądz, udzielający ślubu ma przekonanie, że dzieci będą ochrzczone i wychowane w duchu katolickim.

ZAMKNIĘCIE WYDZIAŁU PRAWA NA UNIWERSYTECIE KATOLICKIM W LUBLINIE

Reżimowy minister oświecenia, Skrzeszewski, zawiadomił rektora Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie, że nowi studenci nie mogą być przyjmowani na wydział prawa tego uniwersytetu. Wydział ten ma być, na życzenie rządu, zwinięty w miarę, jak obecni studenci studia ukończą.—Zarządzenie to nasuwa obawy, czy zwijanie wydziału prawa nie jest początkiem zwijania Uniwersytetu wogóle.

Jak wiadomo, reżim komunistyczny otworzył w Lublinie drugi uniwersytet, państwowy, mający być dla Uniwersytetu Katolickiego konkurencją.

70% UMIERA bez SAKRAMENTÓW

Biskupi niemieccy stwierdzają w zbiorowym liście pasterskim, że wśród katolickich wysiedleńców niemieckich z Polski, Czechosłowacji i innych krajów zony sowieckiej, 70 proc. umiera bez Sakramentów świętych, gdyż żyją oni przeważnie wśród ludności protestanckiej, a księży jest zbyt mało, aby mogli do nich dotrzeć. Potrzeba jest dziś w Niemczech ok. 2.000 nowych kościołów i kaplic. Jest dziś w Niemczech 48 parafii, o liczbie ludności katolickiej od 2.500 do 4.500 dusz, gdzie nie ma nawet gdzie przechować Przenajświętszego Sakramentu.

ZMIANY NAZW ULIC W JEROZOLIMIE

W tej części Jerozolimy, która znajduje się pod okupacją żydowską, pozmieniano szereg nazw ulic, mających charakter katolicki, na nazwy żydowskie. Np. ulica Św. Ludwika nosi teraz nazwę ulicy Salomona, ulica Królowej Melisendy (żony jednego z królów królestwa Jerozolimskiego za czasów wypraw krzyżowych)— ulicę Berenice, ulica Ks.Ratisbonne— ulicę Shemuel Hanarid.

SEMINARIUM MISYJNE W MEKSYKU

W mieście Meksyku otwarto seminarium duchowne, które kształcić będzie wyłącznie księży, udających się na misje.

Po burzy prześladowań przed kilkunastu laty, życie katolickie Meksyku odradza się na każdym polu.

6 MILIONÓW GŁÓW ROCZNIE

Jak ogłasza radio watykańskie, katolików jest dziś w świecie 423 miliony, czyli o 119 milionów więcej, niż 20 lat temu. Przeciętny przyrost wynosi więc około 6 milionów rocznie. Ogólny przyrost ludności świata w tymże czasie wyniósł 600 milionów, co oznacza, że przyrost katolików jest dwukrotnie szybszy, niż ogólny przyrost ludności świata.

Ma to swoją przyczynę głównie w rozwoju misji, po części też i w wysokim przyroście naturalnym ludności katolickiej. Liczba katolików w Afryce w ciągu ubiegłych 20-u lat potroiła się. Dużo również przybyło katolików w Indiach, i innych częściach Azji.

WYWIAD W KONFESJONAŁACH

Jak obwieścił dr Hajzler, sekretarz okręgowy partii komunistycznej w Ołomuńcu (Czechosłowacja), „reakcyjni księża" będą pilnowani, czy nie stosują nowych rozporządzeń Stolicy Apostolskiej o odmowie Sakramentów świętych komunistom. Specjalni agenci udawać się będą do nich do świętokradczej Spowiedzi, w czasie której będą oświadczać, że są komunistami, po to, by sprawdzić, czy uzyskają rozgrzeszenie.

MANICHEJCZYCY NA STEPIE

Pod powyższym tytułem „The Tablet" z dn. 17.9.br. cytuje moskiewski tygodnik „Literaturnaja Gazeta" z dn. 3.9.br., zawierający korespondencję z rejonu Stawropola, na północnym Kaukazie, w okolicach stepowych, zamieszkałych przez ludność rosyjską (lub ukraińską). Korespondencja podaje niezmiernie ciekawe dane o szerzeniu się sekciarstwa, zabarwionego manichejsko, posiadającego cechy wyraźnie obłędne, a także i trochę informacyj o rozwijającej się akcji organizacyjnej miejscowego prawosławia, ogarniającej nawet i nauczycielstwo szkół rządowych. Dla braku miejsca nie możemy tu tego artykułu przytoczyć, streścić zaś go niepodobna. Zwracamy jednak nań uwagę czytelników.

„The Tablet" kończy: „Możemy nienawidzieć obłędu siedmiodniowców, ale nie możemy zaprzeczyć, że owładnięci nim prości chłopi wpadli weń, bo ich tęsknota za wyzwoleniem się z otaczającego ich, pozbawionego nadziei materializmu stała się dla nich nie do zniesienia. Jak długo tęsknota taka istnieje, materializm nie może marzyć o pełnym zwycięstwie".

S. MARIA RENATA

Dziesięciolecie koronacji

naszej Pani Jazłowieckiej

W DNIU 9 lipca b.r. upłynęło 10 lat od uroczystej koronacji posągu Najśw. Panny Niepokalanej, zwanej „Panią naszą Jazłowiecką", która w czasie pierwszej wojny światowej (1914 — 18) zasłynęła cudami i od tego czasu słynąć nimi nie przestaje.

Zwykle cudowne obrazy i posągi nie są bynajmniej dziełami sztuki; tu jest przeciwnie: Pani Jazłowiecka jest arcydziełem rzeźby i otrzymała kilkadziesiąt lat temu złoty medal na wystawie paryskiej.

Jest to statua marmurowa, trochę więcej niż naturalnej wielkości, dłuta jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy polskich XIX-go wieku, Oskara Sosnowskiego: Wiotka dziewczęca postać stojąca na kuli ziemskiej; oczy spuszczone, ręce skrzyżowane na piersiach jakby chciały zatrzymać i ukryć przed spojrzeniem ludzkim niewysłowiony skarb przez Boga jej zwierzony; niebiański uśmiech opromienia jasne oblicze Niepokalanej; drobną stopą, obutą w klasyczny sandał depce głowę piekielnego węża, trzymającego owoc zakazany, symbol wszelkiej pożądliwości.. Takie od Niej wieje skupienie, takie zatopienie się w Bogu, że jeden z naszych księży biskupów, obecny na koronacji. przyjrzawszy się Jej uważnie i zbliska, rzekł: „Ona zmusza do modlitwy".

Ten śliczny wizerunek Matki-Dziewicy znajdował się przez 70 lat z górą w ołtarzu kaplicy klasztornej SS. Niepokalanek w Jazłowcu, na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, w województwie Tarnopolskim, powiecie Buczackim, na t.zw. „Podolu galicyjskim". W roku 1946 musiał być przewieziony do Domu Głównego tegoż Zgromadzenia w Szymanowie pod Warszawą, gdzie otoczony miłosną czcią nadal cudami słynie.

Jazłowiec, kolebka Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek na ziemi polskiej, jest to niewielkie miasteczko, liczące przed wojną około 3000 mieszkańców; tuli się ono do stóp wspaniałych ruin zamku Jazłowieckich, możnego rodu kresowego wygasłego na początku XVII-go wieku. Koniecpolscy, późniejsi dziedzice po kądzieli, wznieśli na skale poniżej t. zw. „górnego zamku" obszerny pałac o przeszło 60-ciu pokojach. Tam to Matka Marcelina Darowska przeniosła w r. 1863 młodziutkie Zgromadzenie, założone w Rzymie przez nią i nieżyjącą już wtedy Matkę Józefę Karską i otworzyła zakład wychowawczy, który niebawem zasłynął na cały kraj i dziś ma filie, obejmujące szkoły powszechne, gimnazja ogólnokształcące oraz licea, bądź ogólnokształcące, bądź zawodowe.

Przez lat równo 50 stała Matka Marcelina na czele swego Zgromadzenia, które się rozrosło mniej może liczebnie niż jakościowo, — raczej w głąb niż wszerz: chodziło jej bowiem głównie o wyrobienie duchowe swych córek.

Idea jej wychowawcza była na owe czasy zupełnie nowa i spotykała się początkowo z niezrozumieniem i niejedną trudnością. Dziś, w blisko 40 lat po jej zgonie, gdy wychowała kilka pokoleń, a córki jej tysiące wychowanek rozsianych po całej Polsce, ludzie fachowi, pedagogowie z zawodu, stoją pełni podziwu przed jej zasadami oraz ich realizacją, i nazywają tę wielką wychowawczynię „wprost genialną"

Matka Marcelina umarła śmiercią wybranych 5-go stycznia 1911 roku, w wieku lat 84; dziś proces jej beatyfikacyjny jest w toku, w Warszawie, pod patronatem Ks. Prymasa Polski, a liczne jej dzieła wyjdą w druku w stosownej chwili.

Po jej błogosławionym zgonie zaczęły się mnożyć cuda, zdziałane przez Panią Jazłowiecką: uzdrowienia, ocalenia, łaski wewnętrzne i zewnętrzne. Zewsząd napływały wota (jest ich dziś około 500), i wciąż nowe przybywają. Kult jej — zwłaszcza po I-ej wojnie światowej, zataczał coraz szersze kręgi, aż Kościół św. uroczyście go sankcjonował, nadając 300 dni odpustu za wezwanie „Pani nasza Jazłowiecka - módl się za nami", i pozwalając na obrazki i medaliki z Jej wizerunkiem. Wreszcie poszła petycja do Rzymu, podpisana przez J. E. X. Kard. Prymasa Hlonda, Arcybiskupów, Biskupów i Duchowieństwo, Wojsko i niezliczone rzesze wiernych (przeszło 30 tysięcy podpisów) o koronację łaskami słynącego posągu. Ojciec święty przychylił się do tej prośby i zezwolił, by złota korona z gwiazdą brylantami wysadzaną spoczęła na głowie Niepokalanej Pani Jazłowieckiej.

Oto dekret Jego Świątobliwości nieco skrócony:

Papież Pius XII — na przyszłą rzeczy pamiątkę

„W miejscowości zwanej Jazłowiec, „w granicach lwowskiej archidiecezji „łacińskiej w kaplicy Sióstr Niepo„kalanego Poczęcia, znajduje się sta„tua Najświętszej Panny Niepokala„nej cudami słynącej. Schodzą się do „niej z całej Polski tłumy ze wszy„stkich warstw społecznych z prośbą o pomoc lub z podziękowaniem za otrzymane łaski, szczególnie wielu „żołniedzy dzielnej Armii Polskiej...

„Przeto gdy arcybiskup łacińskiej archidiecezji lwowskiej zasyła gorą„ce prośby, aby statua Najśw. Dzie„wicy została na mocy naszej władzy papieskiej uroczyście ukoronowana, a do tych próśb dołączają swoje głosy: Prymas Polski, Kardynał „Hlond, wraz z Kardynałem Protek„torem Sióstr Niepokalanek (Mar„maggim), a także Nuncjusz nasz „Apostolski w Polsce, Cortesi, Ar„cybiskupi i Biskupi z tejże Rzeczy„pospolitej, Naczelny Wódz Wojsk „Polskich senatorowie i posłowie, „rektorowie uniwersytetów i semina„riów duchownych — zgadzamy się „bardzo chętnie na koronację uro„czystą w naszym imieniu i naszą „władzą, wyżej wspomnianego posą„gu Niepokalanej, z zachowaniem „wszystkich przepisów, ...ufając, że „ta uroczystość wyjdzie na korzyść „duchową religii i całego tego naro„du katolickiego.

„Dan w Rzymie u św. Piotra, pod „pierścieniem Rybaka, dnia 24 maja „roku 1939, a pierwszym naszego „Pontyfikatu".

Przenosząc się myślą o 10 lat wstecz, mam przed oczyma duszy te niezapomniane uroczystości koronacyjne w naszym starym jazłowieckim gnieździe, — jakby ostatni przebłysk triumfu i chwały przed strasznym kataklizmem drugiej wojny światowej, który w niespełna w dwa miesiące potym wtrącił Polskę w otchłań nieszczęść i zmienił oblicze świata.

Te kardynalskie purpury, te biskupie fiolety, te rozmaite habity męskich i żeńskich zgromadzeń, te mundury wojskowe od szlif generalskich do mundurów szeregowców, te orkiestry pułkowe, wystrzały z moździerzów, śpiewy gregoriańskie Sióstr, pieśni ludowe tłumów w barwnych regionalnych strojach, te liczne zastępy dawnych uczennic, które się zjechały z różnych stron Polski, te biało-żółte sztandary papieskie, biało-czerwone polskie, żółto-niebieskie ruskie, żółto-granatowe 14-go pułku ułanów Jazłowieckich, którzy przybyli na koronację swej Pani...

A wieczorem te iluminacje przez nich urządzane, te wiwaty i okrzyki na Jej cześć — to widok, którego się do końca życia nie zapomni!

Minęło zaledwie 10 lat, — a wszystko się zmieniło... Lecz Pani nasza Jazłowiecka nie opuści nas, i został Bóg niezmienny.

„Wczoraj i dziś, tenże i na wieki". (Hebr. XIII.8.)

S. Maria Renata

Na tym miejscu składamy raz jeszcze serdeczne podziękowania wszystkim członkom Polonii amerykańskiej, którzy 10 lat temu nadesłali datki na sprawienie tej korony. Niech Najśw. Panna im tę nabożną hojność jeszcze hojniejszymi darami swej łaski odpłacić raczy.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Kilka spraw

Szanowny Panie Redaktorze!

1. Od pewnego czasu lekturę Życia zaczynam od dyskusji i „głosów czytelników". Dyskusje są naogół łatwo strawne, dają trochę niewinnej emocji z polemik, nie mówiąc o pożytku intelektualnym. Czasem nawet wnoszą trochę humoru jak np. głos z Ameryki p. Leszczyńskiego. Dają naturalne ujście dla słusznych i niesłusznych niezadowoleń. Każdy czytelnik ma otwarte drzwi do poprawienia tego, co mu się nie podoba. A gdy się przekona, że to takie łatwe nie jest, przestaje być niezadowolony. Dyskusje nie są, jak ktoś napisał „przekomarzaniem się Panów z Londynu", skoro z każdego zakątka świata, gdzie są czytelnicy ŻYCIA, przychodzą listy.

W dalszym ciągu tych luźnych uwag pragnę omówić kilka cytat z artykułów ŻYCIA i dać odpowiedź na „głos czytelnika", skierowany pod moim adresem.

2. Ks. dr. M. Wojciechowski, specjalista od eklezjologii, pisze (w 40 nr. ŻYCIA) z gorzkim wyrzutem: „To co piszą nasi publicyści na tematy eklezjologiczne zdradza tak wielką ignorancję, iż... zachodzi potrzeba bronić Kościoła przed katolikami". Paradoksalnie to wygląda i to nie tylko z tematami o Kościele, a wogóle z religijno-moralnymi. Na szczęście nie o wszystkich tak źle można sądzić. Zwykle tak bywa, że najbardziej porządek w domu psują i trosk przysparzają sami domownicy, a nie obcy. Tak samo z Domownikami Wiary, czyli katolikami. W tej biedzie ta obecnie święta pociecha, że zarówno tutaj, jak w Kraju problematyka religijna coraz bardziej świeckich pisarzy pociąga. Stąd nadzieja oczyszczenia i rozszerzenia pojęć z tej najważniejszej dla człowieka dziedziny, jego stosunku do Boga.

3. P. Zofia Kossak w swym całkiem przyjemnym artykule p.t. „Ojcowska dłoń" (nr. 39 ŻYCIA) napisała tak nieszczęśliwe zdanie, że mimo szacunku dla nazwiska i tytułu pisarza katolickiego, a może tymbardziej dlatego, nie można słów tych pozostawić bez echa. Choć rzucone są mimochodem, i znajdują się w bardzo miłym kontekście, to jednak wzięte same w sobie, brzmią wprost horendalnie. Mogą w sposób całkiem cichy więcej zamętu narobić niż ...O. Bocheński, że „pochwalił przewrotnego włodarza" (Łk. 16,8), czyli Lenina, za oparcie systemu komunistycznego na filozofii. Zdanie to brzmi następująco:... „Zmieniła wiarę, by uzyskać rozwód. P o w s z e d n i a c z ę s t a historia" (podkreślenie moje). Abstrahuję od konkretnej sytuacji i osoby, opisanych w artykule. Przytoczony cytat ma charakter ogólny i sensu jego nie zmieniają zdania następne. Jest opinią Autorki. Wprawdzie wielu nieuświadomionych wyraża się podobnie, ale na łamach katolickiego pisma nie wolno w tych błędach utwierdzać. Zdanie to jest po pierwsze niezgodne z polską rzeczywistością, a po wtóre z teologią. Po krótce je zanalizujmy.

Dla katolika jest jedna prawdziwa Wiara, jeden prawdziwy Kościół, który uważamy za duchowną Matkę. Dlatego tej jedynej Wiary, podobnie jak matki nie można zmieniać wraz z żoną czy mężem. Co najwyżej Wiarę można utracić, lub zdradzić przez wyrzeczenie się jej i wpisanie do paszportu sekciarskiego wyznania. I w tym ostatnim wypadku nazywamy to apostazją, odstępstwem, przyjęciem protestantyzmu, czy innej sekty. Wyrażenie „zmieniła wiarę" mimowoli stawia religię katolicką w jednym szeregu z sektami, jako jedną z wiar.

I tę „zmianę wiary" czyli zerwanie z Kościołem, uważa p.Kossak u nas, w katolickiej Polsce za „powszednią częstą historię" Ładna historia z tą „historią"! Aż się oczom wierzyć nie chce, że takie potknięcie przytrafić się mogło nawet p. Kossak. Ponieważ nie ma żadnych zacieśnień co do zakresu, wynika, że Autorka tak myśli o całym społeczeństwie. Nie zarzucam tu lekceważenia teologii, ani świadomej przesady. Uważam to za pewien przesąd laickiej „teologii" środowiska. A może potrzebny był taki „ton barwy" do danego obrazu.

Na szczęście apostazje dla zerwania małżeństwa i wejścia w nowe związki stanowiły w naszym społeczeństwie całkiem nikły, ułamkowy procent. Raczej należy mówić o sporadycznych wypadkach. Na nieszczęście zaś wypadki takie zdarzały się wśród t.zw. „elity", której w życiu niczego oprócz... rozwodów nie brakło. I dlatego było o tym tak głośno. Były one wrzodem społecznym, wrzodem na mózgu. Nie było dobrze, gdy taki apostata reprezentował katolicką Polskę nazewnątrz. Przed jednym takim reprezentantem zamknęły się drzwi Watykanu, a głupi się cieszyli, że słusznie został ukarany, choć kosztem całego społeczeństwa. Przytem nazwanie apostazji i zerwania małżeństwa, „powszednią częstą historią" wyraźnie pomniejsza w sensie potocznym ciężkość tych występków. Wielu obciążonych tymi grzechami, po przeczytaniu tych słów odetchnie z ulgą.

4. Mimowoli kojarzą mi się tu słowa znanego publicysty p. W. A. Zbyszewskiego z art. Polityka Watykanu (Wiadomości nr. 27/170) „...Prawdziwe odrodzenie nastąpi... gdy rozwodnicy i rozpustnicy będą wzbudzali taką odrazę, co mordercy i złodzieje..." Do tego słusznego w zasadzie rozumowania należało by tę wprowadzić poprawkę, że odrazę należy zacieśnić do samych grzechów. Grzeszników zaś, jako ludzi chorych duchowo, **chrześcijanin winien bardziej miłować, niż sprawiedliwych.** Podobnie jak w porządku fizycznym pomoc należy okazać przede wszystkim biednym, chorym i opuszczonym.

5. Wreszcie kilka słów odpowiedzi na głos czytelnika Z. M. (39 nr. ŻYCIA). Wydaje mi się, że nie pomniejszam roli filozofii, gdy się przeciwstawiam zbytniemu rozszerzeniu jej zadania. Filozofia Marxa-Lenina jest materializmem, wojującym ateizmem i namiastką religii. I jako taką wtłoczono w życie, w szerokie masy. Nie wystarczy dziś w pośpiechu przeciwstawić temu frontowi na całej jego długości filozofii tomistycznej, bo to jest pars pro toto. Ateizmowi marxistowsko-leninowskiemu należy się „odwdzięczyć" nie tylko filozoficznym teizmem, ale również objawioną Nauką o Bogu i przeznaczeniu człowieka. Należy więc sięgnąć i po drugą część tomizmu, po teologię. Przestańmy się bać Ewangelii i Teologii, bo naprzeciw nam stoją wojujące ich antytezy, groźne dla nas naprawdę. Możeby tak ktoś pokusił się zrobić taki zwięzły skrót teologii tomistycznej, takie „ABC II-ej cz. tomizmu". Byłaby to piękna całość. Należy sięgnąć na strych po starą zbroję religii. Znajduje się ona w masach i inteligencji, tylko przez tę ostatnią bardzo niedoceniana i zapoznana. Czyż nie bardziej brakuje społeczeństwu naszemu uświadomienia religijnego niż filozoficznego, choć haec facienda, et alia non omittenda. Ileż to razy naprzykład słyszy się nawet od praktykujących katolików jako główny motyw wiary to, że wierzyli ich rodzice, wiarę otrzymali w spadku. Tak dziś mogą usprawiedliwiać swój ateizm rosyjscy bezbożnicy, będący drugim pokoleniem. W XVIII w. Kant zadał bolesny cios filozofii scholastycznej. Z tego ciosu mogła wylizać się sama. Dziś ateistyczny komunizm mierzy w Kopułę św. Piotra...

Niemcy X. Mgr. Paweł Kajka

OBÓZ HARCERSKI W STELLA PLAGE WE FRANCJI

Uliczką, prowadzącą w stronę morza, idą harcerki: małe zuchy i dziewczęta. Chłodzi świeży wiatr; młode płuca łapczywie wciągają morską rzeźkość, bo tegoroczny sierpień gorący niebywale. Połyskuje brąz równomiernej opalenizny, widać zdrowie. Wyłoniło się morze, a z nim fale, piach, słońce i zabawa.

Cienie były najkrótsze, gdy maszerowano z powrotem; rozbawione oczy stają się wieżami obserwacyjnymi wygłodniałych żołądków. Zdala pieszczą wzrokiem kuchnię i szopę „stołową". Wnet rozlega się szczęk łyżek o talerze, praca absorbująca niesłychanie, ale nie na tyle, by pokonać choć na chwilę panujący gwar. Soczystość gruszek obcieka po palcach i podbródkach: nie warto wycierać, bo morze znów obmyje.

Zebrania, wybory, uchwalanie deklaracyj, dyskusja nad funduszami, przemówienie delegata z centrali, potem sążnisty i źle napisany artykuł w gazecie — to się nazywa robota niepodległościowa, służenie sprawie polskiej.

A czasem znów widzi się afisze i ogłoszenia skromne, proste: wyślijcie dzieci na odpoczynek, nad morze. I nie ma pompatycznej organizacji, ni prezesur, a za to dziewczęta zbierają się koło masztu sztandarowego, by dowiedzieć się, że obok Bayarda istniał także i Zawisza Czarny, a Sienkiewicz napisał „W pustyni i w puszczy". Polska mowa, już tak trudna, rozkwita jak na obozach w Kaszubskiej Szwajcarii, Spale czy Augustowie.

Wieczorem ognisko. Ta sama melodia woła, ta sama pieśń huczy, która odbijała się od sosen nadniemeńskich i tak samo trzaskają berwiona. Humor, szczery, pełny, spontaniczny.

Gdy się patrzy na ten skrawek życia, to zjawia się życzenie, by takie obozy organizowane były corocznie; by odbywały się także za dziesięć, czy piętnaście lat. A że energia harcerska i zapał zastępują niepewną pomoc zasiłków oficjalnych, zagadnienie sprowadza się do tego, czy będą i za kilkanaście lat ludzie, którzy się tego dzieła podejmą. Czy znajdą się następne druhny Niedźwiedzkie i Olkusznik, by na paru tysiącach metrów kwadratowych wyczarować kawałek Polski i postawić go na nogi. Kto zastąpi pracowitość i troskliwość mjr. Jurkiewicza, który za swym biurkiem na Legendre o wszystkim myśli i w każdej sprawie stara się zaradzić?

Pytania, na które „sfery kierujące" i „czynniki miarodajne" naszego skautingu odpowiedziały już dawniej, bo oto widzimy kurs drużynowych, gdzie młode dziewczęta dowiadują się, jak należy się do takiej pracy zabierać; jak odczuwać i dać innym odczuć Polskę nad brzegami La Manche, jak być pogodną, jak trafiać do młodzieży.

Jest tu także kurs wodzów zuchów. O, to jest bardzo skomplikowana sprawa. Gdyby nie fakt, że nie jestem zabobonna, pomyślałabym, że to czary. Boć przecie gromada basałyków, z którą nie może sobie dać rady nauczyciel, nad którą załamuje ręce mama, spaceruje tu jak stado potulnych baranków. Trudno nie wspomnieć o oddalonym nieco od innych, namiocie studentek, które korzystają z serdecznej gościny i po ciężkiej pracy całorocznej mogą odpocząć i nawdychać na zapas złotego, słonego powietrza. Każdy z nas mający okazję spędzenia tam choć kilku dni (a było takich wielu z całej nieomal Francji, nie wspominając paru zabłąkanych i niespodzianych gości z Anglii) czuje głęboki podziw i wdzięczność dla organizatorów. Zadanie ich proste ale i niebywale trudne, bawić i wplatać w tę zabawę nieznacznie lecz zdecydowanie zagadnienia istotne dla każdego Polaka na obczyźnie.

X.

STARE KLISZE — NOWE CZASY

GDY się rozejrzeć wśród tych części świata, które mogą być zmobilizowane do walki z komunizmem a zwłaszcza, gdy uwagę skoncentrować na centrum kapitalizmu, który ma tą walką kierować, niepokój musi ogarnąć. Widoczna staje się dysproporcja między mózgiem a mięśniami, między kalibrem umysłów a wielkością zasobów materialnych, którymi mają one dysponować. Czy w warunkach obecnego zmaterializowania społeczeństw zachodniej półkuli selekcja oparta na metodach demagogii wyłonić może przewódców na miarę zadań dziejowych z kryzysem w skali światowej związanych? Logicznie rozumując nie może. Owoce czteroletniej polityki zdają się to twierdzenie najzupełniej potwierdzać.

Rosjanie jak byli, tak są na Łabie. Brak pokoju przezwano zimną wojną. Wschód może zaspokoić wszystkie żądania terytorialne Niemiec bo, albo sporne terytoria są w jego posiadaniu, albo znajdują się w zasięgu niespornego wyniku militarnego wysiłku. Zachód może obiecywać tylko to, co już innym przehandlował i czym nie rozporządza, a wiadomo, iż z tego na czym rękę położył, nic odstąpić nie jest w stanie. Licytacja w tych warunkach może moralną kompromitację autorów Karty Atlantyckiej jedynie pogłębić. Unia Europejska, z sali obrad której tchórzliwie wyniesiono puste fotele symbolicznie przeznaczone dla uciśnionych narodów z za Żelaznej Kurtyny znalazła w parę tygodni po zakończeniu obrad Europejskiego zgromadzenia w zaskoczeniu kolegów z Strasburga dewaluacją funta, symbol stopnia osiągniętej jedności i wzór uzgodnienia gospodarczej współpracy między narodami. Biała księga Amerykańska o polityce wobec Chin dała miarę straconych korzyści i naiwnego budowania planów opartych na złudnym pogodzeniu komunistów z Czang-Kai-Shekem. Mao-Tse-Tung będzie Prezydentem najliczniejszego na świecie państwa, a premier Indii, Pandit Nehru, który ma przewodzić anty-komunistycznej koalicji państw południowo-wschodniej Azii poleciał do Waszyngtonu, by namówić Trumana do rychłego uznania nowego władcy Chin, narzędzia Moskwy.

Niejeden sobie na pociechę powie: Mają przecie ogromny już zapas bomb atomowych a Rosja dopiero teraz rozpoczyna fabrykację. Cóż będzie jednak za 6 miesięcy?

* * *

Senator Baruch, autor odrzuconej przez Rosję formuły o kontroli produkcji atomowej, myśli widocznie o tym, co będzie za sześć miesięcy a co może grozić i wcześniej. To też, przed kilku dniami gorąco zalecał, by nareszcie Stany Zjednocz. przystąpiły do zastosowania środków obronnych na wypadek pojawienia się na horyzoncie bombowców nieprzyjacielskich.

Pokładano w Stanach Zjednoczonych wielkie nadzieje na bombowiec B. 36, przeznaczony dla dokonania zrzutów bomb atomowych. Tymczasem na Komisji Kongresu dowodzący flotą na Pacyfiku admirał W. Ratford oświadczył, że myśliwce najnowszego typu, używane przez marynarkę, w jednej chwili mogą zniszczyć bombowiec B. 36, który jest „pomyłką w skali miliarda dolarów". Spór sięga głębiej, bo dowodzi, iż toczy się zajadła walka pomiędzy admiralicją a lotnictwem. Rzeczoznawcy ze strony sił morskich zaproponowali kongresmanom, by wsiedli do bombowca B. 36 a zobaczą, jak dwa myśliwce korzystając z przewagi szybkości w pozorowanej walce rozstrzelają bombowiec za pomocą strzałów skierowanych z armatek fotograficznych. Nawet dla takiego bezkrwawego pojedynku nie znaleziono amatorów, bo uwierzono chętnie opinii obrońcy zaatakowanego na komisji bombowca, iż dla wyciągnięcia wniosków dopiero bój zapomocą prawdziwych pocisków byłby miarodajny. Co sądzić można o kwalifikacjach kongresmanów dla wyrokowania w podobnych sprawach lub o korzyściach z rozgłosu, którego takie spory nabierają. Komedia pomyłek? Czy to farsa, czy melodramat?

NOWY SYSTEM SOCJOLOGII*)

SOCJOLOGIA jest nauką stosunkowo młodą, gdyż powstała dopiero w początkach XIX stulecia. To, oraz fakt, że przedmiot jej badania — społeczność ludzka — jest w stanie ciągłej płynności i ewolucji, sprawia, że jest ona poniekąd nauką spekulatywną, ilustrowaną opisami i danymi statystycznymi. Trafność uwag, wniosków i uogólnień znakomitych socjologów jest częściej rezultatem ich talentu dialektycznego, niż odkryć i ustalonych na ich podstawie faktów.

Mimo to socjologia ma wiele walorów pragmatycznych i kształcących zarówno dla tych, którzy ją uprawiają dla niej samej, jak i dla tych, którzy traktują ją, jako podbudowę nauk humanistycznych. Stosunkowo niedługa historia jej rozwoju świadczy o zmaganiu się najtęższych umysłów z problemem, który stwarza sobie komplikująca się, w miarę postępu, społeczność ludzka.

Nauka polska nie pozostała na uboczu od tych zmagań i wydała już szereg nazwisk, mających szeroki rozgłos na terenie międzynarodowym. Do ich liczby należy Ludwik Gumplowicz (1838 — 1909).

Wspomnieliśmy jego nazwisko głównie dlatego, że autor omawianej pracy, ks. Mirek, rozpoczął swoje studia socjologiczne od monografii o systemie Gumplowicza, opublikowanej w r. 1930 i kontynuował je przez lat prawie dwadzieścia. Ich rezultatem jest sążniste dzieło, zawierające samodzielnie pomyślany system socjologiczny.

Obszerny wstęp poświęcony jest omówieniu rozwoju socjologii aż po czasy najnowsze z uwzględnieniem jej stosunku do innych nauk a zwłaszcza humanistycznych. Ta część pracy jest dość pobieżna a ocena niektórych systemów nazbyt krytyczna. Autor wolał wykazać ich twórcom błędność założeń i wniosków niż wydobyć pozytywny wkład, wniesiony do rozwoju socjologii jako nauki.

Wykładając swój własny system socjologiczny, autor podzielił go na następujące, naczelne zagadnienia:

— teoria styczności społecznych,
— teoria funkcyj społecznych,
— teoria stosunków społecznych,
— grupa społeczna — jej geneza i analiza doświadczalna.

Teorię styczności społecznych opiera autor na przesłankach psychologicznych. „Świadomość o istnieniu człowieka — pisze — względnie uznanie kogoś za podobnego do człowieka, jest pierwszą istotną cechą styczności społecznej“ (str.93). Wynikiem tej zasady jest teoria funkcji społecznych, pojęta, jako szereg czynności osobowych „których przedmiotem jest wytworzenie, lub zmiana współżycia człowieka z człowiekiem, ludzi z ludźmi, ludzi z grupą lub grupami ludzkimi“ (str.264). W tym samym duchu ujmuje autor teorię stosunków społecznych. „Stosunek społeczny — pisze — zachodzi dopiero wtedy, gdy partnerzy, lub przynajmniej jeden z nich uświadamiają sobie, że łączy ich lub dzieli coś, co ma w sobie pewną siłę, pewien przymus na czynności, które spełniamy w odniesieniu do naszego partnera“ (str. 456). A dalej pisze: „o stosunku społecznym w ścisłym znaczeniu możemy mówić tylko tam i wtedy, gdzie i kiedy stwierdzamy u przedmiotów ze sobą współżyjących pewną świadomą powinność spełnienia lub zaniechania pewnych czynności względem siebie“ — (str. 457).

W odniesieniu do zagadnienia grupy społecznej — autor nie postawił tak jasno sformułowanego swego punktu widzenia, jak to uczynił w stosunku do innych zagadnień. Pogląd swój w tym względzie wolał raczej wyrazić w analizie i krytyce dawnych i nowych systemów, przez co ta część jego pracy nabrała charakteru rozważań historycznych.

Z treści „Zarysu“ wynika, iż jego autor posiada gruntowne wykształcenie filozoficzne, co ma dla socjologa, jako podbudowa pod studia, ogromne znaczenie, gdyż pozwala mu na traktowanie zjawisk społecznych w bardzo szerokim ujęciu i nia określenie ich przy użyciu wnikliwej i ścisłej terminologii. Mimo, iż nie jest mu obca najnowsza literatura przedmiotu, zarówno angielska, jak i amerykańska — nie idzie w reprezentowanym przez nią kierunku, ale trzyma się dobrych, europejskich tradycji, pragnących widzieć socjologię jako odnogę nauk filozoficznych, a nie jako doktrynę, operującą li tylko statystyką, ankietą i opisami anormalnych zjawisk nowoczesnego społeczeństwa.

Najważniejszą jednak cechą książki X. Mirka jest ujęcie zjawisk społecznych z punktu widzenia filozofii i etyki katolickiej. Ujawnia się to w całokształcie przedmiotu, ale najwięcej w tym, iż autor wprowadził do swego systemu socjologii szereg nieuznawanych uprzednio pojęć, jak np. rola motywów nadprzyrodzonych w stosunkach społecznych.

Józef Jasnowski

*) X. Fr. Mirek „Zarys Socjologii“ Lublin 1948, Tow. Nauk. Katol. Uniwersytetu Lubelskiego, stron 745.

JAZZ

STARZY mistrzowie sztuki pięknej nie wahali się wziąć pod swoją opiekę walców czy menuetów. Nikt im już obecnie nie zarzuca, że sięgali po „lekkie tematy“. Biorąc to pod uwagę, zastanówmy się, jaką przyszłość w wielkiej muzyce można przepowiedzieć jazzowi?

Niestety, nikt dziś jazzu poważnie nie traktuje; i propagatorzy i przeciwnicy wykazują często nienadzwyczajną znajomość tego tematu. Poza zawodowymi muzykami, jest minimalna ilość osób, które by potrafiły określić, co to jest „jazz“.

Dokładna analiza potrafi jednak przynieść zaskakujące odkrycia. Ogólnie przyjęte „afrykańskie“ pochodzenie tego działu muzyki posiada w gruncie rzeczy bardzo słabe oparcie w faktach. Rytm jazzowy jest niesłychanie prosty, co zresztą w dużym stopniu ogranicza jego możliwości twórcze. Natomiast nie ma na świecie bardziej skomplikowanych i bardziej zróżniczkowanych rytmów nad rytmy afrykańskie. Po drugie, Afryka nigdy nie znała harmonii i kontrapunktu, co ma swoje konsekwencje w muzyce tanecznej, granej przez murzynów z kolonii francuskich.

Jakie więc wpływy podziałały na murzynów amerykańskich, z którymi jazz wiąże się bezpośrednio, a co minęło „bokiem“ murzynów afrykańskich? I tu jawi się pierwsza dla wielu zadziwiająca odpowiedź: niewolnicy w Ameryce byli pod silnym wpływem misjonarzy chrześcijańskich, i właśnie **hymny kościelne XIX wieku** dzieliły z nieszczęsnymi, wykorzenionymi murzynami ból i tęsknotę. Stąd pochodzą tak zwane „blues“ i wczesne „ja-chcę-wrócić-do-domu“ — rodzaj piosenek.

Murzyni nie są ludem twórczym lecz przetwórczym. Dlatego ich muzyka jest „pożyczona“ i przerabiana. Szkoła impresjonistyczna dała materiał i razem z drugim czynnikiem, który za chwilę omówię, wywołały tak wielki wzrost muzyki jazzowej po pierwszej wojnie światowej.

Teraz bowiem zjawia się nowy twórca, który usuwa prawie że resztki „murzyńskości“ z jazzu: Żyd. 90 proc. obecnej muzyki lekkiej jest pisane przez amerykańskich Żydów. I odtąd mamy dwa rodzaje muzyki do omówienia: jazz pseudo-afrykański i jazz żydowski.

Jeszcze jednym ignorowanym faktem w jazzie jest to, że murzyni bardziej dążą do „europejskości“, niż się ich o to posądza; im bardziej chwali się ich za „afrykańskość“, tym bardziej dążą oni do tego, co się nazywa „ogładą“. Wrzaskliwy akompaniament saksofonów i blachy jest tylko podkładem do właściwej, bardzo kolorowej melodii. „Przesadny rytm“ nie jest przesadny, lecz właśnie raczej monotonny, zawierający za dużo oklepanych tricków.

Drugi powód „wybuchu“ jazzu, — to zastosowanie, jakie znalazł, a raczej schorzałe uczucie, które potrafił wyrazić, uczucie, którym ten świat dziś powszechnie grzeszy: kompleks niższości. Do pierwszej wojny światowej piosenki cechowała wielka beztroska, bohaterzy zawsze wygrywali wielkie sumy na ruletkach, byli finansowo niezależni, znajdywali poklask u kobiet, wieńczony romantycznym tête-à-tête. Jedynym żalem, jaki śpiewak wyrażał, była niechęć dzielenia się swoim szczęściem z resztą świata. Wojna to wszystko rozbiła, nastały inne czasy, wiele dawnej wesołości zniknęło. Świat zaczął cierpieć na kompleks niższości. Śpiewacy obecnie są stale przygnębieni. Mówią nam, że są „strasznie“ szczęśliwi, bo... nie mają ani grosza w kieszeni. Często spotykamy się z piosenkami, które nam tak uparcie wmawiają, że bohater jest bez reszty zadowolony z życia, że mu nogi same tańczą, aż zaczynamy słusznie posądzać, że sam sobie próbuje to wmówić. Stale nam narzekają na brak uczuć u ukochanych, a nawet jeżeli pochwalą się, że są kochani, szybko tłumaczą, że jest to stan i tak nienormalny.

Który z tych dwu rodzajów muzyki lekkiej uzyska pierwszy poparcie wielkich kompozytorów? — jazz murzyński czy jazz żydowski? Żydowski fox-trott jest zbyt ograniczony w możliwościach, ale mimo to już było parę prób adaptacji, i to prób z powodzeniem. Wpływy jazzu murzyńskiego od dość dawna spotykamy w muzyce t.zw. wielkiej, jak na przykład w „Symfonii z Nowego Świata“ (E-moll) Dworzaka, u Strawińskiego i u zadziwiająco dużej ilości nowoczesnych kompozytorów. Lecz są to tylko — wpływy. A jazz mógłby stanąć na równej stopie z wielką muzyką. Przykładem tego są jedyne w tym rodzaju krótkie utwory Duke Ellingtona, odznaczające się bardzo ładnym doborem kolorów i mieszaniem tematów, oraz interesującą polirytmią, po prostu kontrapunktem rytmicznym.

Następny krok więc należy do kompozytorów. Możliwości są wielkie i pamiętajmy, że rozłam między muzyką „klasyczną“ i popularną w tym wieku pochodzi od Kurt Weill'a i od Jarnacha — dwu uczniów Busoniego...

J. Hierowski

WIECZORY TEATRALNE

Radcy Pana Radcy

Św. Tomasz uważa brak bezinteresownej zabawy, służącej prostemu odprężeniu za grzech, choć większym grzechem jest jego zdaniem nadużycie zabawy... Sądzę, że Polski Teatr Dramatyczny nie „zgrzeszył“ ani przez brak, ani przez nadmiar. Przedstawienie „Radców pana radcy“ ma za cel rozrywkę.

Reżyser i dekorator poszli po dobrej drodze: widowisko zostało pomyślane i skomponowane dość konsekwentnie w typie groteski, a więc typie intelektualnym, przy którym najsilniej widoczny jest element konstrukcji. To reżyserskie „quo“ nie tylko nie odebrało sztuce wdzięku patyny, ale jeszcze wyraziściej podkreśliło urok rzeczy minionej, staroświecki styl dialogu i sytuacji. Niektóre sceny miały czarującą świeżość obrazów H. Rousseau, a zakończenie drugiego aktu wyprost przywodziło na pamięć jego „działon artylerii“, czy któryś ze „spacerów za miasto“.

Należy do dobrych obyczajów recenzenckich przy okazji Bałuckiego zrobić uwagę, jak odległa w czasie jest epoka jego sztuki, choć od czasu jej napisania minęło niewiele ponad lat 80, odleglejsza i niby bardziej niepojęta, niż rzecz dajmy na to z okresu baroku czy renesansu, że jego postaci, choć przecież tylko umowne znaki do wypełnienia żywą sztuką aktorską, zniknęły bezpowrotnie. Otóż nie wydaje mi się, aby to było prawdą. Nawet te parukreskowe sylwety mają w sobie cechy wieczystego człowieczeństwa. Co więcej, zachowują w wierniejszych proporcjach rzeczywistość, niż niejeden znakomity literacko dramat, operujący wyjątkowymi sytuacjami i charakterami, a więc czymś takim, co się w muzyce nazywa augmentacją, zwiększonymi wartościami nutowymi. Oto uprzytomniamy sobie ile w nas i dokoła nas tego samego snobizmu, interesowności, banału, zakłamania, głupoty, wyrachowania, że tak jak w „Radcach pana radcy“ niestety, nie jesteśmy ani źli ani dobrzy, lecz tylko, i to zależnie od okoliczności, zdolni do pojedyńczych czynów dobrych lub złych. — Farsa to znakomity rodzaj teatralny. Z tego samego materiału co tragedia, inny jest „tylko“ punkt spojrzenia na ludzkie biedy.

Kończy ją mimowolny symbol: wielki los na loterii wygrywa służący, a więc ktoś kto zazwyczaj nosił wówczas tylko imię jako znak wyróżniający spośród morza innych ludzi bez nazwiska. Tak jest. Od tamtych czasów (rok 1867) — wielki los jest w rękach tych, o których wtedy mówiono: c z ł o w i e k i do których zwracano się przez: człowieku...

Reżyser wtłoczył groteskę trochę jakby przemocą, czasami nazbyt pedantycznie, niektórzy artyści nie czuli się swobodnie. Na premierze często brak było tego, co się nazywa kontaktowaniem. P.F. Karpowicz np. grał swoją własną rolę, ale to nie wyszło na złe przedstawieniu. Znakomity i stylowy był Zdzisław p.Bożyńskiego. Z pań bardzo dobra Eufrozyna p.B.Reńskiej. Ewa p.A.Iwanowskiej trochę jednostajna, a p. J. Gaar wciąż jeszcze bardziej ujmująca wdziękiem osobistym, niż świadomą sztuką aktorską. Panowie J. Bzowski (służący) i J. Bruner (Karol) mimo ról epizodycznych zostali w pamięci. Doskonale dopasowane do stylu przedstawienia dekoracje p. J. Faszyńskiego. Publiczność wielokroć oklaskiwała artystów przy oswartej kurtynie.

Przed przestawieniem p. Z Nowakowski mówił — jak zwykle — bardzo dużo o sobie ale nie zapomniał także i o znanych faktach z życia Bałuckiego.

Jan Tokarski

W PIERWSZA ROCZNICĘ ŚMIERCI PRYMASA POLSKI ś. p. AUGUSTA KARDYNAŁA HLONDA odbędzie się w Londynie w Kościele Polskim przy 2, Devonia Rd., w sobotę dnia 22 b.m. o godz. 10-ej żałobna Msza św.

Podziękowanie Ojcu św.

Instytut Polski Akcji Kat.
w Wielkiej Brytanii
51, Eaton Place, London S.W.1.

J. E. p. Kazimierz Papée
Ambasador R. P.
przy Stolicy Apostolskiej

Wielce Szanowny Panie Ambasadorze!

Pod głębokim wrażeniem listu Ojca Świętego PIUSA XII do Ks. Ks. Biskupów Polskich w 10-tą rocznicę rozpoczęcia drugiej wojny światowej, Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii gorąco uprasza Pana Ambasadora, aby raczył złożyć u stóp Jego Świętobliwości wyrazy synowskiego hołdu i oddania, oraz najgłębszej wdzięczności w imieniu szerokich rzesz naszego uchodźctwa za ten dokument niezwykłej dla Polski wagi, biorący w obronę i domagający się sprawiedliwości dla naszego umęczonego i pokrzywdzonego Kraju, który dziś nawet wdzięczności swojej wypowiedzieć nie może.

Ten list do naszego Episkopatu jest jednym więcej dowodem stałej i niezmiennej życzliwości, oraz Ojcowskiej troskliwości, jakie żywi Jego Świętobliwość dla naszego Narodu.

Uważamy za potrzebę serca wdzięczność naszą wyrazić i o łaskawe pośrednictwo wobec Stolicy Świętej prosić.

Raczy Pan Ambasador przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku i poważania, z jakim pozostajemy.

(-)B.Podhorski — Dyrektor
(-)J.Baliński-Jundziłł — Przewodniczący

AKADEMIA MISYJNA

Staraniem Sekcji Misyjnej londyńskiej Sodalicji Mariańskiej, odbędzie się w Niedzielę Misyjną, t.zn. 23 października b.r., o godz. 18.00 Akademia Misyjna w sali przy Kościele Polskim, 2, Devonia Rd., N.1. Podczas Akademii wystąpi m.in. tubylczy ksiądz katolicki z Afryki. W części koncertowej wezmą udział muzycy i śpiewacy Czesi oraz Chór Polski pod kierunkiem p. Hossowicza.

Wstęp wolny. Wszystkich uprasza się o liczne przybycie.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3 — 4 po południu. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie firma The Carlton Berry Co Ltd., Grand Builgings, Trafalgar Sq., W.C. 2. Tel: ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.